**Ostrzeżenie!** Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 22 (1758) 31 maja – 6 czerwca 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

# NIE

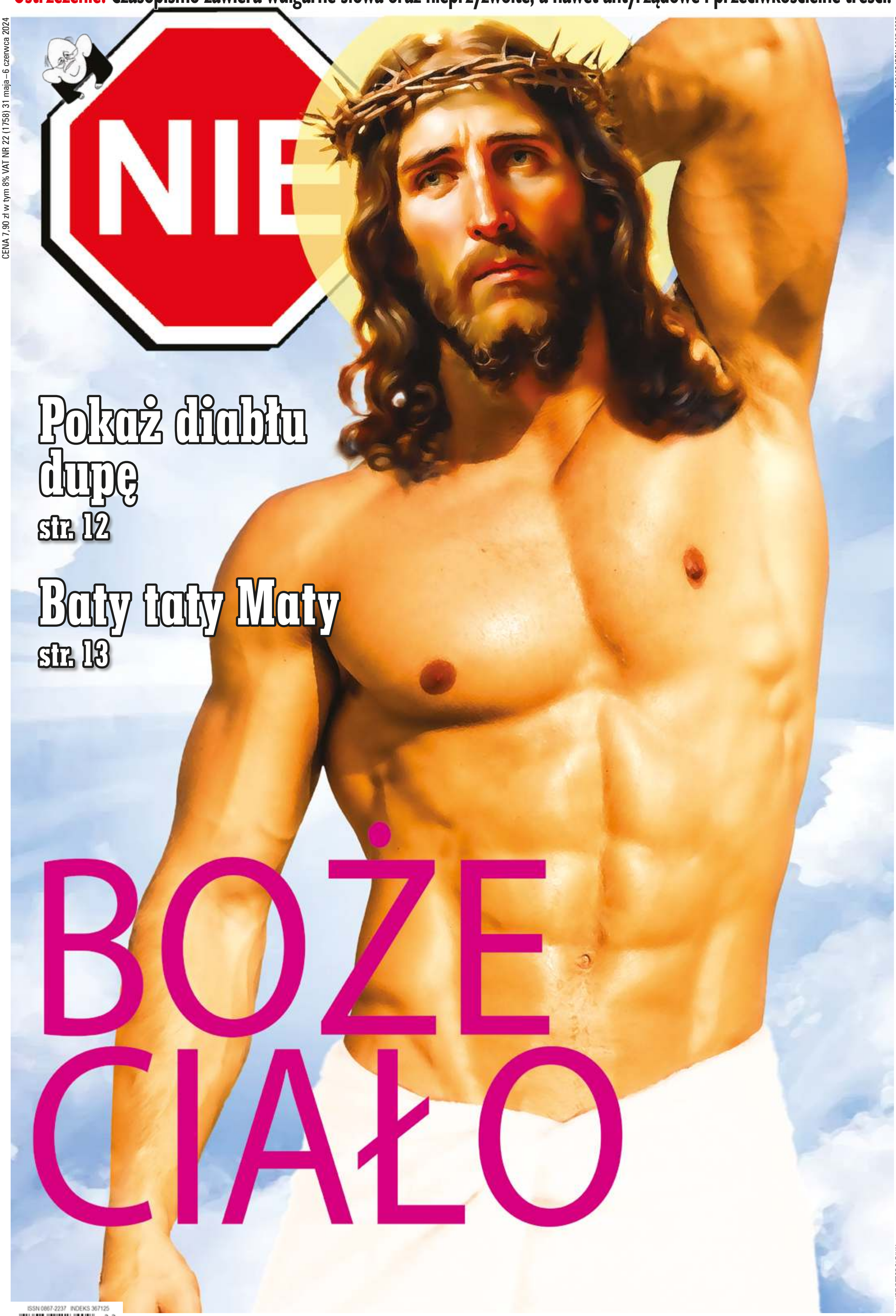

## Pokaż diabłu dupę
str. 12

## Baty taty Maty
str. 13

# BOŻE CIAŁO

Ilust: KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
22
9 770867 223409

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl dff6013e1c

# WOJNA DOMOWA

Tomasz Mraz, były dyrektor ziobrowego Funduszu Sprawiedliwości, a obecnie klient Romana Giertycha, ma 50 godzin rozmów ze swoimi politycznymi promotorami, których nagrywał spod stołu – co skądinąd dowodzi nieśmiertelnego wpływu Adama Michnika na polskie życie publiczne. Z nagrań wynika – niespodzianka – że Fundusz Sprawiedliwości wykorzystywany był przez ziobrystów do celów politycznych i że osoby, które rozdawały kasę swoim, wiedziały, że nie powinny tego robić, w związku z czym podczas ewentualnego przesłuchania należy mówić „nie pamiętam". Internet jest szczególnie podekscytowany zarostem Tomasza Mraza: rzadka broda po pachy oraz wypomadowane i podkręcone wąsy w stylu Salvadora Dalí. Naszym zdaniem, owa dziwaczna stylizacja jest przejawem tej samej przezorności, która kazała panu Mrazowi przez dwa lata nagrywać współpracowników: jak zgoli ten piczy włos z twarzy, nikt go nie pozna na ulicy. Program ochrony świadków będzie niepotrzebny.

„Ten fundusz może się ze wszystkiego rozliczyć" – ocenił sytuację Jarosław Kaczyński, co dowodzi, że w partii stosują wobec Prezesa filozofię: „po co babcię denerwować". Inni już się połapali i głoszą, że „sytuacja absolutnie wymaga wyjaśnienia", ale PiS nie odpowiadał za ministerstwo sprawiedliwości. Niezdenerwowany Prezes na szlaku kampanijnym błyszczy błyskotliwością. W Otwocku w kampanię Małgorzaty Gosiewskiej wprzągł swojego Świętej Pamięci Brata: „Kiedy chciałem szybko wracać do Warszawy i nam ten start uniemożliwiano, to mogłem zobaczyć laptop jednego z funkcjonariuszy Straży Granicznej czy może FSB, i tam jedno z nazwisk było na czerwono, i było to właśnie nazwisko pani marszałek Gosiewskiej. Ona zaciekle walczyła na wschodzie w różnych bardzo krajach i tam jest znana" – mówił, wspominając 10 kwietnia 2010. I dodał familiarnie: „Mówię o pani marszałek, o Małgorzacie, bo dla mnie to jest oczywiście Małgorzata". Tu Małgorzata złapała się za pierś w geście uniesienia, a tłum zawołał „Mał-go-rza-ta, Mał-go-rza-ta". „A nawet Małgosia" – dodał prezes.

Jarosław Kaczyński wypowiedział się także w temacie Daniela Obajtka. „Premier Obajtek" – ogłosił Kaczyński, zapominając, że plan zmiany szefa rządu z początku 2021 r. jednak nie doszedł do skutku – „powinien dostać Orła Białego, a nie prześladowania". Sam Obajtek, dotychczas nieuchwytny, odnalazł się na festynie w Górnie i odpowiedział na kilka pytań Polsatu. Nie ukrywa się, ale na komisję śledczą ds. wiz nie przyjdzie. „Po pierwsze, pan oczywiście Szczerba mówi, że pracownicy, którzy pracowali, generalnie są pracownikami i dlatego powinno się w tej sprawie tłumaczyć. (…) Pani redaktor, ja nie jestem do tego, żeby złym ludziom chcieć coś udowodnić, ja swoją ciężką pracą pokazałem, jakie są dowody mojej pracy" – wyjaśnił były prezes Orlenu. Obajtek wytłumaczył też, co łączy go z okręgiem, z którego kandyduje do PE: „Bardzo duży związek mam z Podkarpaciem. Po pierwsze jest to teren generalnie podobny do Małopolski, w której się wychowałem". Obajtek w swoim okręgu ma też „rodzinę częściowo" i „zna straże".

Donald Tusk także prowadzi kampanię. Na Dzień Matki powiesił w necie czarno-biały film z 1967 r., na którym ma 10 lat i idzie z rodzicami do cioci Grzesi. „Mój tata miał specyficzne poczucie humoru, niektórzy uważają, że takie same mam ja" – mówi w komentarzu. „Dziadek też lubił się wygłupiać, podobnie jak mój tata, i podobnie jak ja"… Różne rzeczy kojarzą nam się z Donaldem Tuskiem, ale poczucie humoru do nich nie należy. Jeśli chodzi o wygłupianie się – hm… W obszarze merytorycznym premier zajmuje się głównie opowiadaniem, że PiS to ruska agentura – czyni to jednak w tonie dziwnie uspokajającym. „To jest stawka najwyższa z możliwych, to jest gra o naszą przyszłość w sensie takim dosłownym, to jest takie szekspirowskie »być albo nie być«, żebyśmy nie byli bezradni wobec wewnętrznej agentury, wobec dywersji" – ogłosił i dodał: „Ja nie chcę wprowadzić takiej atmosfery, wiecie, »ścigamy szpiega, ścigamy agenta«, że każdy się będzie oglądał za siebie i szukał tych ruskich, bo to naprawdę nie o to chodzi". To o co?

Minister Sikorski – który z bliżej nieznanych przyczyn postanowił podbudować tezę PiS o agenturze niemieckiej w PO, występując w tej kampanii z fryzurą „w ząbek czesany" – chce odwołać ambasadora RP przy NATO Tomasza Szatkowskiego i zastąpić go Jackiem Najderem. Minister Siemoniak stwierdził bowiem, że Szatkowski „nigdy nie powinien zostać ambasadorem Polski przy NATO i jak najszybciej powinien wrócić do Warszawy", na co ma kwity od służb, które przekazał Dudzie. Andrzej Duda nie jest przekonany. „Nie ma mojej zgody na tą (sic!) kandydaturę, nie ma zgody Prezydenta Rzeczypospolitej, w istocie ta kandydatura była dzisiaj przedstawiona bez zgody Prezydenta Rzeczpospolitej ze złamaniem dotychczasowej procedury i chcę państwu oświadczyć, że tak przedstawionego kandydata z całą pewnością nie zaakceptuję jako Prezydent Rzeczpospolitej". Naprawdę: wszyscy wiemy, że Andrzej Duda jest „Prezydentem Rzeczypospolitej". Niezależnie od tego, jak bardzo chcielibyśmy o tym zapomnieć.

Po tym, jak premier Tusk zapowiedział budowę zasieków i kopanie mokradeł na granicy wschodniej, PiS usiłuje przebić go bojowością. Nie jest łatwo, zważywszy, że szef rządu galopuje z lancą w szumie skrzydeł, ale kaczyści się nie poddają. PiS zaoferował zerwanie traktatu ottawskiego, czyli konwencji o zakazie użycia, składowania, produkcji i przekazywania min przeciwpiechotnych oraz o ich zniszczeniu. „Sprawdzimy wiarygodność obecnego rządu; papierkiem lakmusowym będzie podejście do wykorzystania min przeciwpiechotnych i wystąpienie z traktatu ottawskiego, jeśli chcemy bronić pogranicza, to jest niezbędne" – ogłosił ostatnio Michał Dworczyk. U faceta, który został skazany za przechowywanie pocisków artyleryjskich w piwnicy dziewięciopiętrowego bloku, miłość do min akurat nie powinna dziwić – ale stopień regresu cywilizacyjnego, który oferują nam obie strony polskiej wojny domowej, jest cokolwiek niepokojący.

**AWŁ**

# Z URNY URBANA

**Mija 10 lat od śmierci Wojciecha Jaruzelskiego (25 maja). Przypominamy felieton, w którym Urban żegnał Generała.**

# Srał was pies

Generał Jaruzelski był rzadkością i jako człowiek, i jako polityk. Przenikliwością obezwładniał rozmówców. Okazywał lojalność wobec lojalnych ze szkodą własną. Gdy stykał się osobiście z wrogami politycznymi, to ich uwodził. Otoczenie swoje zaskakiwał luzem, poczuciem humoru i żądzą plotek. Był niespodzianką dla wszystkich, którzy stykali się z Nim osobiście, a pamiętali jako sztywniaka z plenów PZPR, defilad, przemówień – jednym słowem z telewizora. Mniemał bowiem, że nosiciel godności powinien przypominać drzewiec od sztandaru.

Miał wady: mówił zbyt rozwlekle, słuchał innych nazbyt potulnie i za długo, podejmował decyzje dopiero gdy dojrzały, z opóźnieniem. Brakowało Mu nowoczesnego wykształcenia i współczesnych lektur. Nie rozumiał socjotechniki ani mechanizmów władzy. Mniemał, że nakazać coś równa się sprawić. Zadziwiały go nieraz podstawowe wiadomości o świecie, zatem imponowali mu besserwisserzy. Jaruzelski ulepiony był z dobrej przestarzałej gliny. Już komunista, a wciąż polski szlachcic z wadami obu gatunków.

Powiem ostrożnie, że Jaruzelskiego uważam za jednego z największych polskich polityków, ale naprawdę On przerastał wszystkich: Stanisława Augusta, Wielopolskiego, Piłsudskiego. Owszem, Marszałek odparł bolszewików, a Generał się o nich oparł. Obaj dla kraju zrobili, co w ich mocy było. Jednakże mając władzę, Piłsudski ewoluował od demokraty do autokraty. Polityczna droga Generała Jaruzelskiego biegła przeciwstawnie.

Nacjonalistyczna prawica, alias zaplute karły reakcji, potomkowie fanatyka Niewiadomskiego twierdzą, że Jaruzelski był zbrodniarzem, bo wprowadził stan wojenny. Sam Generał nazywał go mniejszym złem. Nie zgadzam się ze skromnością skrytą za tą samooceną. Co miał zrobić przywódca państwa u progu zimy 1981 r.? Nic nie robić, a czekać, co się zdarzy? Miał przeciw sobie dziewięć milionów zrewoltowanych solidaruchów zbuntowanych przeciw PRL, ale także przeciwko im przewodzącym umiarkowanym politykom. Miał pół miliona uzbrojonych zwolenników lub beneficjantów PRL, licząc wojsko i inne formacje zbrojne, milicję, SB, których świerzbiły palce. Miał wojska radzieckie wewnątrz Polski i wokół wszystkich jej granic. Miał na karku doktrynę Breżniewa mówiącą, że z radzieckiego obozu nie ma drzwi z napisem „wyjście". Nie mógł oddać władzy, bo był do niej wszechstronnie przykuty. Czyż powinien był czekać, kto pierwszy zacznie strzelać, a kto rżnąć? Na ówczesną Polskę patrzeć należy przez pryzmat Ukrainy, Bałkanów, Bliskiego Wschodu. A też marzeń Europy Zachodniej i USA z lat 80. o tym, żeby „komunizm" dogorywał spokojnie. Natomiast o dramacie w kopalni Wujek niechaj idioci opowiedzą np. w Iraku albo Syrii. Tam na pewno docenią jego wielki wymiar.

Drugim z kolei czynem świadczącym o politycznej wielkości Wojciecha Jaruzelskiego była próba wprowadzenia kapitalizmu do socjalizmu, czyli reformy Wilczka–Rakowskiego. W istocie stanowiły one już zmianę ustroju bez usuwania jego politycznych dekoracji. Te jednakże spóźnione i niekonsekwentne próby grzebania realnego socjalizmu przez jego własny kondukt pogrzebowy miały w konsekwencji doniosłe znaczenie. Przy Okrągłym Stole usiadły strony nieodległe już od siebie pod względem celów, rozumiejące wzajemnie swój język. Porozumienie to stanowiło nie tylko dziejową konieczność. Przy wszystkich sporach ono już dojrzało pod względem politycznym i programowym. A z czerwonej strony nie natrafiło na ideologiczne opory. Generał Jaruzelski z opóźnieniem, ale wciąż w porę wyciągnął wnioski z historycznej przegranej realnego socjalizmu.

Wreszcie Jaruzelski przyjął prezydenturę RP/PRL, a to, jak ją sprawował, świadczy o niezwykłym kalibrze tego męża stanu. Żaden inny przywódca w XX wieku tak się nie zachował: mając dużą konstytucyjną władzę, nie korzystał z niej. Stał się doradcą i notariuszem premiera Mazowieckiego. Chronił i aprobował tworzenie zachodniego modelu demokracji oraz kapitalizmu. Nie miał i mieć nie mógł w tym żadnej rachuby własnej. Na urzędzie spokojnie cierpiał upokorzenia. Odszedł dobrowolnie i cicho, z chwilą gdy przestał być nowej władzy potrzebny jako parasol ochronny. Jakiż inny polityk rezygnował ze wszelkich ambicji i uznawał swoją zbędność?

Przez następcę pożegnany został po chamsku. Tak i teraz jest żegnany przez niedorżniętą watahę, mówiąc słowami Sikorskiego.

Nad komuchem, który już dawno temu zrobił swoje i odszedł, nie pochylą się współczesne sztandary. Dla Komorowskiego i Tuska śmierć Jaruzelskiego to ani radość, ani żal, tylko kłopot, przez który trzeba się prześlizgnąć bez nadmiernych strat wizerunkowych. Wielki jest żal tylko tych, którzy Go znali i wspomagali. Płakać powinna Polska, ale jest za głupia na to, żeby włożyć żałobę.

**JERZY URBAN**

# PRASA ŚNIADANIOWA

- **Elon Musk** nazwał decyzję Trzaskowskiego o usunięciu symboli religijnych z przestrzeni publicznej żenującą. Co temu Elonowi na musk padło?
- Dzięki nowym przepisom, do sejmu będzie można wchodzić z psami. Dotychczas psy mogły wchodzić same.
- Jak informuje portal niedziela.pl, **katecheci** są przeciwni zmianom zasad organizacji lekcji religii w szkołach. To jakby pytać krowę, czy poleca na obiad tatara.
- **Prof. Andrzej Zybertowicz** pyta, czy Tusk chce narobić dymu przed wyborami? Dokładnie chodzi o grillowanie PiS-u.
- **Nergal** został skazany za znieważenie wizerunku Jezusa Chrystusa. Jezus Chrystus na procesie przybrał formę Dominika Tarczyńskiego.
- **Jacek Kurski** powiedział, że oddał TVP wykluczonym przez elity. To jest pomysł na film „Lot nad wykluczonym gniazdem".

**MARTA M.**

eprasa.pl dff6013e1c

# Plecami do Europy

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Donald Tusk napisał ostatnio nader dosadnie na platformie X: „Nie idziesz na wybory, bo się zmęczyłeś? Bo wkurzył Cię ten czy inny minister? Pamiętaj: to wyborcy wygrywają i przegrywają wybory. Bo głosują za czymś, nie za kimś. Na przykład za Europą albo za Rosją. Nie głosujesz – przegrywasz swoją walkę, nie czyjąś. Walkowerem”.

Wpis premiera jest dobrym pretekstem, aby uświadomić sobie, jak bardzo w naszej obecnej polityce Parlament Europejski w szczególe, a Unia Europejska w ogóle, są nieistotne. W gruncie rzeczy wybierzemy 53 osoby, europosłów i (znacznie mniej) europosłanek, którzy w ciągu pięciu lat zostaną milionerami. I to dobra wiadomość dla nich, ich bliskich, ale sprawa bez większego znaczenia dla codziennego życia Polaków. Po dwóch dekadach obecności w strukturach zjednoczonej Europy polska klasa polityczna i społeczeństwo stali się tak prowincjonalni, że aż zęby bolą.

I nie, nie jest to prawdą wyłącznie w przypadku startujących z list PiS-u czy Konfederacji, ale także tzw. koalicji demokratycznej. Europę traktują wszyscy jak dojną krowę, która ma dawać forsę i znosić nasze fanaberie.

## Konfederackie odpały

Konfa startuje do PE pod hasłem „Chcemy żyć normalnie”, z którym trudno się nie zgodzić. Nie jestem złośliwa, więc nie napiszę, że sprawdziłoby się ono bardzo dobrze wśród pacjentów szpitala psychiatrycznego, wszak podpisaliby się pod nim profesorowie uniwersytetów, pielęgniarki czy panowie, którzy dzień zaczynają i kończą od małpki pod Żabką. Ci ostatni to wielki elektorat pałający świętym oburzeniem na pomysł, by na stacjach paliw nie sprzedawać alkoholu.

Kandydatem jest m.in. Grzegorz Braun podpisujący na wiecach wyborczych gaśnice, przy czym mamy nadzieję, że jego fani nie traktują tego jako dowód na państwową homologację sprzętu przeciwpożarowego… W Brukseli Braun będzie pewnie walczył o to, by Polska przestała być „kondominium niemiecko-rosyjskim pod żydowskim zarządem powierniczym”. Niczym Rejtan wystąpi przeciwko władzy Żydów, masonów i służb specjalnych, którzy „traktują sodomitów jako zaginiony lumpenproletariat swojej rewolucji”. Może Braunowi uda się powstrzymać widmo trzeciej wojny światowej, która – w uniwersum tego pana – spowoduje, że Żydzi będą musieli uciec z Izraela i pod amerykańskimi bagnetami rozpoczną okupację naszego kraju.

Jedynka Konfy na liście do PE z Małopolski, Konrad Berkowicz niby opiewa UE, gdyż podoba mu się „swoboda podróży, wolny handel, bezpieczne granice”. Wstrętem jednak go napawa „Zielony Ład, unijne absurdy, zakaz samochodów spalinowych, relokacja imigrantów”. Berkowicz na swym plakacie wyborczym umieścił następującą sentencję: „Wchodziliśmy do Unii Europejskiej, która miała polegać na swobodnym podróżowaniu, wolnym handlu i solidarności we wspólnocie wolnych ojczyzn. Tymczasem Unię Europejską przejęli europejscy komuniści!”. Berkowicz też jest, mówiąc po prawacku, judeosceptyczny, gdyż swego czasu podczas jednej z poprzednich debat wyborczych, przyłożył do głowy Anny Krupki z PiS jarmułkę.

Konfa będzie też bronić złotówki, co jest tym łatwiejsze, że nikt w Sejmie nie zamierza przejść na walutę euro w Polsce. Będą bronić też płatności gotówkowych, co może skądinąd chwycić, bo na ulicach mego miasta, a także podróżując po kraju, nieraz widziałam napisy sprayem na elewacjach bloku, które łączyły swobodę obracania gotówką z walką z NWO, co jest skrótem od „New World Order”, czyli Nowego Ładu Światowego. Wiadomo: nakażą płacić kartą lub blikiem, będą nas inwigilować jak u Orwella w „Roku 1984”. Potem każą jeść świerszcze i popić latte z mlekiem sojowym, choć wolimy może schabowego i harnasia. A na koniec wyeliminują auta spalinowe, owe typowo polskie 15-letnie ople w gazie, królów szos, których miliony tworzą korki w polskich miastach – a przecież na elektryczne auta stać tylko zaprzedane Żydom elity i pedałów!

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

## PO – PiS zajęty sobą

Tylko pozornie dziwne jest wkładanie do jednego worka partii Kaczyńskiego i partii Tuska. To znamienne, że pomijając brzydkie i długie konanie rządów SLD w latach 2004–2005, to właśnie te dwa ugrupowania naprzemiennie rządzą w trakcie naszej bytności w UE. I to one wespół, choć pewnie nie symetrycznie, odpowiadają za prześność, siermiężność i wręcz zdumiewający prowincjonalizm rodzimej sceny politycznej.

Większość relacji z kampanii wyborczej do PE, która w zasadzie zaczęła się bezpośrednio po finiszu wyborów samorządowych, to wgląd w ten sam mecz tenisa, który ze znudzeniem obserwujemy od dwóch dekad: kto kogo, kto o włos pierwszy, kto zdobędzie więcej mandatów, które głośne nazwiska wejdą, a jakie przepadną w konkurencji do brukselskiego żłobu. A żaden z graczy nie ma bynajmniej klasy Igi Świątek rozdającej karty na światowych kortach.

O PiS-ie można powiedzieć, że przygotował – tu pojawiają się różne określenia – listę śmierci, arkę Noego („Taki mały, taki duży, może w europarlamencie być!”), gdzie nie brak skazańców obecnych (Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik) i być może przyszłych (znowu Kamiński i Wąsik, Daniek Obajtek, Adam Bielan i Jacek Kurski). Więc cieszmy się, bo być może będziemy niedługo pisać o europośle Danielu O., byłym burmistrzu Pcimia i szefie Orlenu.

Kaczyński właśnie nazwał Bielana i Kurskiego „kutrami torpedowymi”, żołnierzami wojsk jednorazowego przeznaczenia. I przestrzegał, że w PE „mogą być podjęte decyzje, które Polakom odbiorą wszystko”. Jak się domyślamy, przez owo wszystko rozumie on mniej więcej to, co Konfa – plus odmęty mesjanizmu, które wyrażają słowa prezesa, że wybory do PE „to będzie punkt, w którym bieg dziejów się odwróci, bieg dziejów w Unii Europejskiej”.

Innymi słowy, będzie to coś więcej niż zmiana biegunów magnetycznych Ziemi, która właśnie powoli – pierwszy raz od 780 tys. lat! – może zachodzić na naszej planecie. Zawsze doceniałam doniosłość drużyny Jarosława, ale nie sądziłam, że wybór parunastu czy dwudziestu ludzi z jego list będzie czymś, co przyćmi przewrót kopernikański…

Tusk tak ładnie mówi o UE, ale po latach na brukselskich salonach uznał, że prawdziwa walka toczy się nad Wisłą, Odrą i Wartą. Więc wystawił na biorących miejscach na listach ludzi, którzy mają zasługi w walce z PiS-em i niekiedy mu podpadli lub są niepopularni (już Wałęsa mówił o zderzakach). Ucieleśnieniem tego podejścia jest Bartłomiej Sienkiewicz, żelazną ręką odbijający TVP z rąk propagandystów słusznie minionego reżimu.

W platformerskiej propagandzie na wybory do PE praktycznie nie sposób zorientować się merytorycznie, o co w tym wszystkim chodzi, za jaką wizją Unii opowiadają się jej politycy. Czy chcą coś konkretnego wnieść do Brukseli, stanowić jakiś ważny głos na forum unijnym? Nie dowiemy się tego. Dowiemy się za to, co jest hasłem od wielu – zbyt wielu! – lat, że PiS to ruskie onuce i jest zagrożeniem dla kraju. Czyli ludzie Tuska są zbawieniem, lekiem na całe zło.

## Jakiej Unii chcemy?

Czasy są trudne, niebezpieczne (rosyjska agresja na wschód od naszych granic) i wymagające działań szybkich i radykalnych, czyli sięgających do korzeni problemu. Duch czasu, jakby to powiedzieli niemieccy klasyczni filozofowie, nam nie sprzyja. W skali UE do głosu coraz bardziej dochodzą jakieś szury, prawicowe oszołomy, które niewielkie ruchy unijne – zbyt późne i zbyt nieśmiałe – takie jak ten nieszczęsny Zielony Ład, przedstawiają jako zamach na wolność i swobodę życia tak jak chcemy.

W Polsce jest podobnie.

Gdyby nie fakt, że – pomijając jakieś dziwne konfiarskie odpały – PiS jest mocno prawicowy, można by się spodziewać bardzo dobrego wyniku ludzi Mentzena i Bosaka. Lewica i Trzecia Droga z kolei chcą upchnąć jak najwięcej zasłużonych ludzi do PE, nie wnosząc nic szczególnego do rozumienia przez elektorat zjednoczonej Europy, jej charakteru i miejsca na świecie.

No i próbują rozpaczliwie znaleźć swoje miejsce w POPiS-owym duopolu. A sprawa ucieczki byłego już sędziego Tomasza Szmydta, w której Kaczyński z Tuskiem przerzucają się wzajemnymi oskarżeniami, jeszcze bardziej pokazuje, że los przystawek platformerskich jest bardzo niepewny i że ich rozpaczliwe próby, aby ich głos był słyszalny w medialnym pojedynku liderów największych ugrupowań, są równie skuteczne, co zawracanie kijem rzeki. Po co głosować na kopię, skoro ma się pod ręką oryginał?

Zapowiada się znowu niska frekwencja, co będzie jednoznacznie sprzyjać Konfie, ale nade wszystko PiS-owi. Co sobie uświadomiłam jadąc parę dni temu autobusem, gdy słyszałam rozmowę dwóch starszych pań, które komentowały bieżącą sytuację polityczną i najnowsze doniesienia krajowe i zagraniczne. I jestem w pełni świadoma, że nawet gdyby Kaczyński, pędząc po stolicy 120 km/h, przejechał jadącą na wózku inwalidzkim na zielonym świetle zakonnicę w ciąży, to nic by to nie zmieniło. Bo okazałoby się, że ojciec zakonnicy był milicjantem, wózek był niemiecki, ona jest weganką, a w ciąży jest z Arabem…

PiS nie ma wyborców. Ma wyznawców. Rządzący, co pokazały wybory samorządowe, muszą dzień po dniu starać się o zachowanie sympatii i mobilizację zwolenników chcących rozwiązywania prawdziwych problemów, a nie pohukiwań i straszenia PiS-em, który wszak ma kukiełkę w Pałacu Prezydenckim i Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej, ale władzy realnej został pozbawiony.

**Więc być może najlepszym, co może Polki i Polaków spotkać, jest niska frekwencja, zagłosowanie nogami i kolejna wygrana PiS. Może to otrzeźwi tzw. demokratów zajętych głównie sobą i stołkami, a nie tym, co rzeczywiście ważne.**

Ale nie stawiałabym na to dużych pieniędzy…

**ZUZANNA JURCZYŃSKA**

# MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jak wiadomo, poseł Suwerennej Polski, a jeszcze niedawno ziobrowy wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski jest numerariuszem w Opus Dei. Jak wiadomo, Opus Dei to ultrakatolicka część Kościoła, a numerariusz to członek tej części, który wybrał życie w celibacie.

Jak wiadomo od całkiem niedawna, numerariusz Romanowski dał się nagrać podwładnemu, który ma fikuśne wąsy i na nazwisko Mraz. Efektem tych nagrań powinno być śledztwo prokuratorskie (już się takie toczy) zakończone aktem oskarżenia; wygląda na to, że Romanowski będzie musiał odpierdzieć kilka lat za kratkami. W mamrze trudno będzie mu zachować cnotę.

Nie rucha, dał się wyruchać – ani jedno, ani drugie nie świadczy jednak o małości Romanowskiego. Dyskredytuje go następujący wpis na platformie Suwerennej Polski: „Giertych dał pokaz swoich gangsterskich metod. Z pomocą zastraszonego »sygnalisty« dokonał linczu na chorym Zbigniewie Ziobro i współpracownikach ministra. Wiarygodność Mraza, który przytulił się do Giertycha, jest taka sama jak Szmydta”.

Choroba Ziobry jako argument w obronie własnej… Nie znam się na moralności katolickiej, ale chyba nawet członkom Opus Dei nie wypada posuwać się do takiej podłości.



eprasa.pl dff6013e1c

# Komisarz prawdę ci powie

## Czas polowania na pachołków.

Gromko rozpoczął się polski casting na „największego pachołka Rosji”. Zdominował już kampanię wyborczą do Parlamentu Europejskiego. Bo wcześniej sztabowcy Koalicji Obywatelskiej nadali tym wyborom charakter plebiscytu. Alternatywy pomiędzy dobrą, proeuropejską KO, a antyunijnym PiS. Bo wtedy łatwiej o mobilizację wyborczych fanów.

Jednak pomimo wysiłków bliskich im mediów jakoś to nie wybrzmiało. Może dlatego, że większość potencjalnych wyborców prezentuje różnorodny eurosceptycyzm. Generalnie są za Polską w Unii Europejskiej, ale każdy ma też listę niezbędnych zmian w Unii. Długofalowych i szybkich korekt. To sprzyja merytorycznym debatom, a wtedy o emocje trudno. A bez nich nawet najtwardszy elektorat do urn pójść nie musi.

Rys. WIDGET

### Zdeklasowana klasa

Ruscy przynajmniej od dwóch wieków wkurwiają polską inteligencję. Tą jeszcze żywą warstwę społeczną, powstałą w efekcie ubożenia szlachty w zderzeniu z rodzącym się wilczym kapitalizmem. Inteligencja polska zawsze aspirowała do zajmowania stanowisk rządowych, posadami zwanych. Ci najbardziej ambitni inteligenci marzyli o rządzeniu państwem polskim.

Nic dziwnego, że w czasie zaborów inteligencja ciągle walczyła o reaktywowanie polskiego państwa, wchodząc w konflikty z państwami zaborcami.

Najczęściej z Rosją. W zaborze austriackim, od kiedy ziemie polskie zyskały autonomię kulturalną i samorządową, polscy inteligenci mogli być już urzędnikami. Zdarzyło się nawet, że Polak został premierem rządu całej CK monarchii. W zaborze pruskim rządzący tam Niemcy skutecznie zmusili szlachtę do pracy organicznej, przemieniając wielu szlacheckich nierobów w farmerów i biznesmenów. W rosyjskim zaborze kapitalizm i demokracja kulały. Dlatego te wysadzone z siodła, zubożałe, sfrustrowane szlachetki stale konspirowały, odrzucając polskich pionierów kapitalizmu. Drucki-Lubecki przegrywał bój o rząd dusz z Mochnackim, Wielopolski – z Trauguttem. Nawet powieściowy Wokulski, choć zarobił miliony na handlu z Rosjanami, nie był godnym towarzystwa szlachetnie urodzonych gołodupców.

Los uśmiechnął się do nich po I wojnie światowej. W II Rzeczpospolitej ton polityce państwa polskiego nadawali inteligenci. Ich politycznymi liderami byli zdeklasowany szlachcic Józef Piłsudski i zdeklasowany herbowy Roman Dmowski. Polska inteligencja pozajmowała wymarzone posady i rządziła państwem.

Ale, jak celnie napisał niedawno Robert Krassowski, „nie umiała rządzić, ale umiała oceniać. I organizować bojówki endeckie bądź lewicowe, bić w wojenne bębny”.

Dziś wciąż politycznie żywa polska inteligencja, zamiast rewolwerowych, organizuje bojówki hejterów i komentatorów internetowych. Wspierających zwykle KO lub PiS. Bijące się w sieci internetowej ze sobą i solidarnie zwalczające wszelkie objawy innego myślenia. Szczególnie tych chętnych do życia poza politycznym duopolem, do posiadania innych niż duopol poglądów. Takie herezje zwie się teraz symetryzmem. W średniowieczu podobni trafiali na ciepłe stosy, w stalinowskim Związku Radzieckim – do klimatycznego Magadanu.

### Kto mieczem wojuje, ten…

Jeszcze przed zeszłorocznymi wyborami parlamentarnymi sejmowa większość ze Zjednoczonej Prawicy powołała komisję ds. badania rosyjskich Wpływów. Ale czas owych wpływów dotyczył jedynie lat 2007–2014, czyli poprzednich rządów PO i ówczesnego premiera Donalda Tuska. Skład członków komisji też był ograniczony. Powołano komisarzy wielce zasłużonych w walce politycznej z Donaldem Tuskiem i jego PO. Wzięli sute wynagrodzenie za zlecone im prace. Nawet raport spisali. Ale nie przebił się do debaty publicznej.

Bo polscy wyborcy gremialnie uznali, że owa komisja zwykłym szalbierstwem jest. Katem i batem na rosnącego w siłę Tuska. Dlatego kiedy Tusk wygrał parlamentarne wybory i powrócił na premierowski stolec, to raport PiS-komisarzy poszedł do piachu. Jak niepotrzebny już topór ostrzony na głowę zdrajcy.

Dziś jedynie Andrzej Zybertowicz, doradca prezydenta RP, zwany w mediach profesorem, uparcie broni swej komisarskiej roboty. „Niech eksperci pokażą nasze błędy, niech powiedzą, gdzie upolityczniliśmy wnioski. Przeanalizujmy punkt po punkcie treść porozumienia podpisanego przez Służbę Kontrwywiadu Wojskowego z rosyjską FSB. Porozumienia podpisanego na warunkach rosyjskich. I właśnie to nasza komisja wykazała” – zachęca.

Pomysłem kolejnej komisji zapłodnił polską klasę rządzącą sędzia-szpieg Szmydt, który uciekł do Białorusi. Rozpoczęła się licytacja na sejmowe słowa, internetowe wpisy, upowszechniane kompromitujące zdjęcia i spoty wyborcze. Wspierające kandydatów w narodowym rankingu „Kto tutaj największym pachołkiem Rosji jest?”. Czy premier Tusk i jego drużyna, czy prezes Kaczyński i drużyna jego? I znów na czole peletonu pojawili się liderzy duopolu.

Ale teraz o liście pachołków i ich randze decydować ma powołana przez aktualnie rządzących nowa już komisja ds. badania rosyjskich wpływów. Tym razem będzie badała wpływy przynajmniej od 1991 r. Kierunek jej badań określił już generał Piotr Pytel. Wyrzucony z pracy w polskim wywiadzie przez władzę PiS. Lansowany obecnie w mediach głównego nurtu, krytycznych wobec Zjednoczonej Prawicy. Na ich łamach generał Pytel ujawnił skrywaną ponoć do tej pory wielką tajemnicę specsłużb: „Rosja już tu jest. Jej największym sukcesem w Polsce jest PiS”.

Skoro jest tak, jak twierdzi generał, skoro służby już ruskich pachołków porachowały, to po cóż jeszcze powoływać dodatkową komisję?

Złożoną, jak słyszę, przede wszystkim z pracowników specsłużb. Pracującą w trybie niejawnym, a czasem i tajnym. W polskich warunkach taki tryb oznacza, że zaprzyjaźnione ze służbami media będą dostawały przecieki. Grono „pachołków Rosji” będzie nam w mediach rosło. Zwłaszcza na potrzeby bieżącej walki politycznej.

Ponieważ polska polityka ciągle robiona jest po inteligencku, czyli nie po to, by realizować strategiczne interesy państwa polskiego, tylko żeby wszystkich moralnie oceniać – czyli oczerniać – dyskredytować politycznych wrogów, to wróżę nam kolejną polityczną wojnę polskich plemion. Jednych pachołków z drugimi.

### Czas krawców z Panamy

Zasady pracy i etyki zawodowej specsłużb wywiadowczych znam jedynie z książek. Przede wszystkim z „Krawca z Panamy” autorstwa Johna le Carré zainspirowanego przez Grahama Greene’a. A także z licznych wywiadów prasowych udzielanych teraz przez byłych i niebyłych generałów specsłużb. Aktualnych medialnych celebrytów.

Pewnie dlatego w rozbudzonej przez literatów i generałów wyobraźni widzę dynamicznie rosnące rzesze „pachołków Rosji”. Tych z PiS i tych z KO. Bo przecież aktyw PiS ostatniego słowa nie powiedział.

Kiedy na wojnie drwa rąbią, to drzazgi lecą. Zawsze też pojawiają się deficyty. Mamy teraz w Ukrainie deficyt amunicji. Boję się, że

**po wystrzelaniu w mediach pierwszych partii rzeczywistych „pachołków Rosji”, pojawią się ich deficyty, bo wielce pobudzony popyt na nich nadal pozostanie. Wtedy ofiarami mogą stać się polscy rusofile. Entuzjaści rosyjskiej kultury. Ci niepłatni nawet.**

Kiedyś uważani jedynie za pożytecznych idiotów. Zdarzyć się może, że ofiarami walk z pachołkami Prigożyna staną się też fani Puszkina. I sam Puszkin też rykoszetem dostanie.

Bez wątpienia Rosja już tu jest. Od przynajmniej XVIII wieku Rosja ma nieprzerwanie w Polsce wielu swych przeróżnych agentów. Zapewne inne państwa też swą agenturę u nas mają. Zwłaszcza, że rośniemy w siłę, znaczenie i dostatek.

Czy powstaną komisje wykrywające pachołków innych mocarstw?

Pewnie nie, chyba że Polska wejdzie w stan przedwojenny z Budapesztem, Berlinem, Paryżem, Waszyngtonem, Pekinem czy Delhi, stolicą wspierających Moskwę Indii. Biada wtedy entuzjastom Bollywood.

Historia nie lubi się powtarzać. Ale warto przypomnieć, że stworzony w II Rzeczypospolitej polski wywiad został ograny przez wywiad radziecki. Stworzony przez Polaków, też ze szlacheckich rodzin. Drużyna Feliksa Dzierżyńskiego wykreowała fikcyjną antyradziecką organizację podziemną. Przekazywała ona polskiemu wywiadowi fałszywe informacje. Za niemałe pieniądze. Przy okazji tej operacji „Trust”, radziecki wywiad rozpracował i sparaliżował polski wywiad na Wschodzie.

Okazało się, że czasem dla pracy wywiadu efektywniej jest stworzyć siatkę zdeklarowanych „antypachołków” niż jawnych entuzjastów obcego reżimu. Potem ci „antypachołkowie” karmią wszystkich zainteresowanych informacjami o posiadanym zasobie „pachołków”. Zwłaszcza kiedy wybucha wielkie zapotrzebowanie na publiczne, medialne demaskowanie owych „pachołków”, a krytycyzm do źródeł informacji słabnie.

Pragmatyczny kanclerz Bismarck mawiał, że dobrą politykę i dobrą kiełbasę robi się sekretnie, w zaciszu kuchni. Patrząc na medialny, powszechny plebiscyt „Największy pachołek Rosji”, do listy po kiełbasie dopisałbym także tych „pachołków”.

**PIOTR GADZINOWSKI**

ETYKA BEZBOŻNA

# Kiepura cienko śpiewa

Executive MBA, czyli Wykonawczy Magister Zarządzania Przedsiębiorstwem, starosta kłobucki – to brzmi dumie! Tak mógł się jeszcze rok temu tytułować pan poseł Henryk Kiepura z PSL, wiceminister edukacji obecnego rządu. A teraz to nawet jeszcze dumniej, bo coś w rodzaju Podsekretarz Wykonawczy Magister w Ministerstwie, tylko taki jest w tym szkopuł, a nawet problem, że MBA ten zacny magister zaliczył w przesławnym Collegium Humanum. Gdzie niejaki Cz., krewny innego Cz., Rysia zresztą, jak hot dogi pod stadionem sprzedawał różnym pisowcom i nie tylko pisowcom złaknionym doradzania spółkom skarbu państwa, śliczne świeżutkie dyplomiki.

Ale co złego w świeżutkich dyplomikach po 10 tysi sztuka? Przecież wszyscy wiedzą, że te całe „embijaje” to ściema. No, tak. Wiedzą, że tak jest, ale wiedzą też pewnie, że tak być nie powinno. Od razu zaznaczmy, że przypadek pana o śpiewnym nazwisku Kiepura do najgorszych nie należy. On akurat brał udział w jakiś zajęciach i egzaminach, choć zapewne nie trudniejszych do przejścia niż uniwersytet trzeciego wieku (z całym szacunkiem dla wieku i uniwersytetu). Problem raczej w tym, że zarabiając 21 tys. zł miesięcznie jako starosta zafundował sobie ten pachnący obietnicą rozlicznych spółkowych apanaży papierek za publiczne pieniądze. Naród się złożył, żeby pan Kiepura mógł zarabiać jeszcze więcej.

No i teraz Kiepura cienko śpiewa. Musi się tłumaczyć i nawet, jak kierownictwo partii i państwa okaże wielkoduszność i da mu spokój, to wyżej już nie pójdzie. Niby sprawa nie za wielka, ale plama na honorze jest. Trochę tak jak u prezydenta Wrocławia Jacka Sutryka, który z podobnego powodu omalże nie stracił nominacji mateczki partii jako jej kandydat w niedawnych wyborach samorządowych. Obaj ustali. Dzielni chłopcy.

Zostawmy już te złośliwości – jest na świecie, a nawet w Polsce paru bardziej zepsutych polityków niż Kiepura z Sutrykiem. Ale sama sprawa fikcyjnej edukacji błaha nie jest. Niewiele jest chyba obszarów życia społecznego tak załganych i wyzutych z wszelkiej etyki, jak cała ta lipna wyższa edukacja, która nabiła nam jakieś absurdalne wskaźniki przekraczające 50 proc. takowe wykształcenie posiadających pośród młodszych grup wiekowych. Już sam fakt, że ludzie o inteligencji bardzo przeciętnej (jak wynika z tej statystyki) są licencjatami i magistrami, może niepokoić. Czyżby akademickie poziomy i uczoności nie były zastrzeżone dla najbardziej inteligentnych? No, powiedzmy, dla 20 proc. najbystrzejszych? Skłonny byłbym sądzić, że tak. Sama masowość

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

dyplomów dowodnie świadczy o ich wartości i jakości. Niestety, to nie jest po prostu tak, że są porządne uczelnie i kierunki oraz „wyższe szkoły gotowania na gazie”, które udają, że uczą, a tak naprawdę sprzedają papierki, w dodatku nic nie warte. Pseudoedukacja w pseudouczelniach to była patologia typowa dla lat 90. oraz pierwszej dekady lat 2000. Dziś większość niby-uczelni już nie funkcjonuje, a przeciętna jakość „usług edukacyjnych” w niepublicznych szkołach wyższych bardzo się podniosła. Za to dawną patologię zastąpiła nowa, której wyrazem są fajne, nieobciążające studia pana Kiepury. Dotyka ona bynajmniej nie tylko uczelni niepublicznych, lecz nawet najlepszych uniwersytetów.

Kiepura myśli, że wszystko jest OK. Poniekąd ma rację. Od dawna już bowiem edukacja na poziomie licencjackim i magisterskim stała się po prostu biznesem, a biznes kieruje się potrzebami rynku. Trochę te potrzeby kreuje, lecz najczęściej się do nich przystosowuje. A czego chce klient na rynku edukacji? Po pierwsze chce, żeby było tanio i żeby była gwarancja, że gdy zapłaci, to dostanie dyplom. Po drugie, nie chce się przepracowywać. Po trzecie, oczekuje, że skoro już chodzi na te zajęcia, to będzie ciekawie i miło. A po czwarte, że mu się do czegoś przydadzą, to znaczy – nauczą go czegoś, co



eprasa.pl dff6013e1c

**35 lat regresu polskiej klasy politycznej.**

# Prywatyzacja 4 czerwca

Rys. LESŁAW KUCZERSKI

„4 czerwca kartką wyborczą pokonaliśmy Związek Radziecki" – ogłosił Donald Tusk w Białymstoku, wspominając wybory z 1989 r. – „Pokonajmy podobne zagrożenie kartką wyborczą 9 czerwca, stawka jest podobna"…

Serio?

## Donald Presley

Rozmawiamy o wyborach, w których po 44 latach w Polsce zmienił się ustrój (czy na lepsze – to inna sprawa). Związek Radziecki wprawdzie pokonał się sam, zarzynając się ekonomicznie wyścigiem zbrojeń – ale w 1989 r. polscy obywatele wypowiedzieli się na temat geopolitycznej lokalizacji Polski. Było to ponad wszelką wątpliwość wydarzenie wielkiej wagi.

Teraz premier rządu RP porównuje je z wyborem kilkudziesięciu pieczeniarzy, którzy zarobią po pięć baniek, zatrudnią stadko krewnych i znajomych i nie będą mieli kompletnie nic do powiedzenia w jakiejkolwiek merytorycznej sprawie – bo nawet gdyby Parlament Europejski był w UE instytucją decyzyjną (a nie jest), to polskich europosłów jest za mało, żeby mogli cokolwiek. Jeśli rzeczywiście, jak straszy Tusk, w Europie przewagę zdobędą partie eurosceptyczne, które on nazywa prorosyjskimi – to 53 żarliwie antyrosyjskich posłów z Polski będzie mogło tej większości skoczyć obunóż z rozbiegu.

Motywacja Tuska w tej populistycznej narracji jest psychologicznie zrozumiała: chce wreszcie, za wszelką cenę, po dziewięciu przegranych, wygrać jakieś wybory z PiS – ale wykorzystywanie legendy wyborów 4 czerwca do kampanii, której efekt ma znaczenie wyłącznie dla jego ego, trąci nie tylko cynizmem, ale też bezczelnością.

Ukoronowaniem tej bezczelności jest zapowiedziany przez szefa rządu wielki wiec wyborczy. „4 czerwca 1989 wybraliśmy wolność i Zachód. 4 czerwca rok temu maszerowaliśmy, by to odzyskać. 4 czerwca 2024 spotkajmy się, by tego nie stracić" – napisał na platformie X.

Co zdaje się szczególnie niesmaczne w kontekście faktu, iż jest to zabieg wymierzony głównie w rządowych partnerów Tuska. Wyborcy PiS są poza jego zasięgiem – konfrontacyjna narracja, lapidarnie ujęta w haśle „Płatni zdrajcy, pachołki Moskwy", gwarantuje mu, że dla zwolenników poprzedniego rządu jest kompletnie nie do przyjęcia. Ale organizując sobie 4 czerwca wiec na Placu Zamkowym – który, jak słusznie zauważa w „Rzeczpospolitej" Artur Bartkiewicz, „KO jest w zasadzie w stanie zapełnić własnymi siłami, uruchamiając swoje struktury" – Tusk zawłaszcza nie tylko historyczną datę, ale całą kampanię. Kolejna wielka impreza, na której Donald wystąpi w charakterze Elvisa, Kaczyńskiego nie osłabi, ale skanibalizuje poparcie Trzeciej Drogi i lewicy. Jeśli tym razem PO dostanie kilka mandatów więcej niż PiS, nie będą to mandaty odebrane Kaczyńskiemu, tylko koalicjantom.

## Kto na Jaruzelskiego?

Ale nawet nie to jest najważniejsze. W tym samym populistycznym monologu Tusk powiedział coś, co oburzyło mnie znacznie bardziej. Wezwał otóż, abyśmy „pokonali zagrożenie" (kimkolwiek jesteśmy „my"), dodając pytanie retoryczne: „jesteśmy o ile silniejsi, o ile lepsi i nowocześniejsi" niż 4 czerwca 1989 r.

Wprost brak mi słów, żeby wyrazić, jak bardzo jesteśmy gorsi.

W tym tygodniu mija 35. rocznica wyborów 1989. W zeszłym

**minęła 10. rocznica śmierci generała Wojciecha Jaruzelskiego: najwybitniejszego, moim zdaniem, Polaka XX wieku. Męża stanu, który dwukrotnie ocalił Polskę przed nieszczęściem.**

Raz, radzieckiej interwencji i drugi – krwawej rewolucji. Przywódcy, który dla dobra kraju usiadł do stołu z wrogami, z którymi walczył przez całe życie i zgodził się podzielić z nimi władzą.

Kto niby miałby być Jaruzelskim w scenariuszu Donalda Tuska? A kto ma być Wałęsą, Kuroniem, Michnikiem? Gdzie, w tej chujowieńkiej klasie politycznej, zajmującej się wyłącznie walką w kisielu, szukać mężów stanu gotowych uczciwie i serio rozmawiać z drugą stroną?

Premier polskiego rządu z trybuny sejmowej oskarżył opozycję – na którą zagłosowało 7,6 miliona Polaków – o odpłatną działalność na rzecz wrogiego mocarstwa. Od tygodni buduje narrację, w której prominentni politycy przeciwnego obozu są już nie szkodnikami, nieudacznikami i aferzystami (z czym trudno się nie zgodzić) – ale wprost ruskimi szpiegami. „Cały rejestr osób, które pojawiły się w polskiej polityce, których patronem był albo Macierewicz, albo Dworczyk, albo cała warstwa rządząca ze strony PiS-u" – mówił premier w TVN24 – wskazuje na „skalę infiltracji" PiS przez Rosję, którą „wszyscy znacie" (wy, dziennikarze), ale „nie mieliście odwagi połączyć kropek"; z chlubnym wyjątkiem „niektórych dziennikarzy, którzy na własny rachunek starali się to badać, a potem przyklejało im się łatki nieodpowiedzialnych albo szalonych"…

Początkowo – po sejmowym wybryku z „płatnymi zdrajcami", nocnych tweetach, że PiS=Rosja, powołaniu tajnej komisji inkwizycyjnej – myślałam, że Tuskowi odbija. Dziś widzę, że w tym szaleństwie jest jednak metoda. Sto dni przeszło i minęło, sto konkretów odeszło w niepamięć, a premier zajmuje się wyłącznie polowaniem na poprzedników i podsycaniem atmosfery wojennej histerii.

I to jest właśnie ta metoda.

## Dwie sieroty po pannie S.

Donald Tusk prowadzi dziś wojnę na dwóch frontach: walczy z PiS-em i z Rosją. Połączenie ich w jeden organizm sprawia, że waga tej walki rośnie wykładniczo i nikt już nie zawraca sobie głowy, na przykład, gospodarką. Przynajmniej nikt wśród wyznawców PO.

A co ważniejsze: jeśli premier rządu RP przekonuje obywateli, że jesteśmy w stanie zagrożenia wojną, że wróg u granic, a w zasadzie już w granicach – bo pożary i dywersja, na szczęście przeważnie udaremnione – to skupienie się władzy na napierdalaniu w opozycję mogłoby zostać odebrane jako małostkowe, a także cokolwiek nieodpowiedzialne. Jeśli jednak utożsamimy wroga wewnętrznego z wrogiem zewnętrznym – to walka z V kolumną staje się sprawą „bezpieczeństwa narodowego".

Z drugiej strony mamy Jarosława Kaczyńskiego, który nagle zaczął mówić językiem państwowca: „My jesteśmy gotowi w tych sprawach do współpracy, bo powtarzam, nie jesteśmy opozycją totalną, jesteśmy opozycją konstruktywną. Chcemy dobra Polski". Kłopot w tym, że „te sprawy", w których Kaczyński jest gotowy do współpracy, to napędzanie militarnego szaleństwa i wojennej histerii. Pomijając już fakt, że jedynym celem tej narracji jest odróżnienie się od Tuska i jego narastającego maccartyzmu.

Żadna ze stron tej wojny domowej nie jest gotowa usiąść i rozmawiać o czymkolwiek. Obie są przekonane, że dorzucanie drewien do stosu rozpala emocje wyborców – a wyborca rozemocjonowany to wyborca zmotywowany.

Mówimy przy tym – to warto przypomnieć, bo obie strony starannie to zamazują – o facetach, którzy wywodzą się z tego samego solidarnościowego pnia. O dwóch de facto prawicowych formacjach wyrosłych z tego samego kultu styropianu. Nikt nikomu nie wyrywał paznokci, nikt do nikogo nie strzelał w lesie. Cała ta wrogość jest ledwo pełnoletnia: zrodziła się w spierdolonych negocjacjach koalicyjnych POPiS-u w 2005 r.

W 1989 r. do stołu z gen. Kiszczakiem zasiedli faceci, których wsadzał on do pierdla; na serio, nie na dwa tygodnie w oczekiwaniu, aż prezydentowi zmięknie rura. Ludzie, którzy dostawali wpierdol od ZOMO, działającego w imieniu państwa, które sądziło, że musi bronić się przed wywrotowcami, narażającymi Polskę na hekatombę bratniej interwencji. Ludzie – po obu stronach – którzy się nie znali, w życiu nie widzieli się na oczy i głęboko wierzyli, że druga strona ma ogon i kopyta.

Kto z liderów dzisiejszej władzy i opozycji, tak bardzo zranionych czterokrotnym wzajemnym odebraniem sobie władzy w demokratycznych wyborach, gotów byłby – dla dobra „ojczyzny", o której tyle ględzą – usiąść z przeciwnikiem do stołu i ustalić cokolwiek?

Naprawdę Donald Tusk sądzi, że jesteśmy dziś „o tyle lepsi i nowocześniejsi"? Czy ktokolwiek, kto pamięta przełom lat 80. i 90., jest w stanie na poważnie w to uwierzyć?

**AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA**

przełoży się na jego zarobki. No i co na to bożek kapitalizmu? Podrapał się po zadzie, sprawdził konto i orzekł: trzeba z edukacji zrobić fajne, przystępne pogadanki dla każdego. Wykluczających się potrzeb nie da się ze sobą pogodzić i połączyć w jednej ofercie, ale można udawać, że się to robi.

Chamskie oszustwo, jakim było masowe wydawanie fikcyjnych dyplomów ludziom, którym nawet nie chciało się udawać, że coś studiują (często ledwie umieli pisać i czytać), i to na podstawie zerżniętych lub zamówionych prac, ustępuje dziś pastelowej patologii „rozwijających studiów dla każdego". Wygląda to w ten sposób, że nauczyciele zabawiają studentów różnymi fajnymi prezentacjami, a potem oni przygotowują swoje (w postaci wyklejanek z internetu) i wszyscy są szczęśliwi. Na koniec dają sobie dyplomy, zapewniają się wzajemnie o niezwykłej jakości i cudowności szkoły, kadry, studentów, a nawet ich cioć i wujków, płacą i idą w świat.

Cała ta gra pozorów jest już tak zapętlona i sama sobie łżąca, że prawie nikt nie widzi, że to jest jedna narcystyczna fikcja. Pan Kiepura prawdopodobnie nie wie, że jest coś złego w tym, że ktoś daje MBA za wysłuchanie pogadanek i napisanie referaciku. Myśli, że to jest w porządku, bo przecież edukacja jest przestrzenią „rozwoju osobistego", a nie nauki. Gdyby ktoś chciał dostać MBA, który rzeczywiście coś by dawał i robił jakiekolwiek wrażenie na prezesach i dyrektorach, to przecież wiadomo, że nie będzie to kosztowało 10 koła i że nie da się tego zrobić, logując się kilkadziesiąt razy w papciach na jakieś wykłady-pogadanki.

Poważana edukacja, owszem, istnieje – ale tak jak zawsze było, jest i będzie, ma ona charakter elitarny. Nie każdy jest w stanie uczyć się rzeczy trudnych i nie każdemu się chce. Ale tylko tam, gdzie są poważne wykłady, dużo rzeczy do zrozumienia i zapamiętania oraz egzaminy, których naprawdę można nie zdać (za to zdać nie można po dwóch dniach nauki), można mówić o studiowaniu i wartości uzyskanego po ukończeniu studiów dyplomu.

Za pozorami czułości i serdeczności okazywanej młodzieży oraz pod osłoną szczytnych ideałów rozwoju i wyrównywania szans, szaleje chamski kapitalizm, który zawsze szuka balansu jakości i ceny, „optymalizując" koszty. A czym bardziej masowa jest dana branża, tym bardziej liczy się w niej tani produkt odpowiadający niewyszukanym potrzebom. Inaczej mówiąc, tandeta. I nie myślcie, że jakiś kraj znalazł genialny sposób na rzetelną i uczciwą edukację, która jednocześnie byłaby naprawdę szeroko dostępna. Edukacyjna taniocha, pozoranctwo i sprzedawanie popularnych pogadanek jako wykładów akademickich jest problemem na całym Zachodzie. Kiepurów są miliony. Co im można poradzić? Na razie tyle: nie masz już 18 lat, zarabiasz dobre pieniądze, lecz nadal chcesz się rozwijać? No to się rozwijaj, byle za własne pieniądze. Pan Kiepura powinien wziąć te nieszczęsne 10 tysięcy z własnego, niewątpliwie zerami napęczniałego konta, i przekazać je na którąś z fundacji finansujących edukację młodzieży z niezamożnych rodzin. Wtedy byśmy się już nie czepiali.

**JAN HARTMAN**



eprasa.pl dff6013e1c

Rys. TOMASZ WIATER

# Polaku, lecz się sam!

## Idealny obywatel, to taki, który leczy się prywatnie i umiera tydzień po przejściu na emeryturę.

Każda zmiana w ustawie o ochronie zdrowia, każde nowe rozporządzenie, a nade wszystko każda reforma to zawsze niekończący się pean wprowadzających ją o tym, jak to dana regulacja przysłuży się zdrowiu pacjenta. No i – oczywiście – ujadanie opozycji, że pacjenci na tym stracą.

Nikt nie przebąknie, że na wszystkich dotychczasowych reformach publicznej służby zdrowia najwięcej zarabiały gabinety prywatne, prywatne kliniki, prywatne przychodnie, a głównie prywatne sieci szpitali i przychodni. Te obsługujące pracowników dużych firm, a nawet urzędników państwowych i samorządowych, którym nawet sektor publiczny opłaca prywatny abonament medyczny.

### Prywatyzacja medyków

U samego zarania odrodzonej Rzeczypospolitej, w roku 1991, powstał Kodeks Etyki Lekarskiej. Został uznany za jeden z dokumentów regulujących zasady w służbie zdrowia i stał się czymś na kształt obowiązującego aktu prawnego. Wprowadzano go pod hasłami jak najbardziej demokratycznymi i światłymi, i przede wszystkim dla dobra pacjentów. Tak naprawdę chodziło zaś o to, by w kodeksie przemycić klauzulę sumienia. Ta z kolei według jej obrońców miała służyć ochronie poczętych i realizowaniu religijnych przekonań kadry medycznej.

Warto przypomnieć, że w momencie uchwalania kodeksu obowiązywała liberalna ustawa skrobankowa pozwalająca abortować, ile dusza zapragnie. Dzięki takiemu prawu, każda zapłodniona niewiasta mogła pozbyć się problemu bezpłatnie w gabinecie publicznej służby zdrowia. Po wprowadzeniu kodeksowej klauzuli niemal z dnia na dzień większość publicznych gabinetów ginekologicznych przestała usuwać ciąże. Delikwentki musiały coś z tym zrobić, a czas mijał, biegły zatem do gabinetów prywatnych, tam usuwały zygoty i zasilały kasę lekarzy przepotężną.

Najidiotyczniejsze w tym wszystkim było to, że zgodnie z klauzulą sumienia lekarz mógł odmówić niezgodnego z jego światopoglądem zabiegu, ale musiał wskazać kogoś, kto to zrobi. No to wymyślono: w publicznym szpitalu lekarz odmawiał kobiecie, ale polecał prywatnie kumpla. Kumpel też w przychodni odmawiał i polecał praktykę prywatną kolegi ze szpitala.

Dokładnie tak samo zaczęło się dziać w drugiej klauzulowej działce medycznej, czyli w antykoncepcji. Publiczne przychodnie odmawiały, gabinety prywatne tych samych ginekologów – wręcz przeciwnie. Kasa płynęła do ginekologów nurtem rwącym jak górski potok i szerokim jak Amazonka przy ujściu.

Po dwóch latach usuwanie ciąży zniknęło niemal z rynku usług medycznych, bo skrobanek – poza trzema znanymi wszystkim wyjątkami – zakazano. Zakaz obejmował oczywiście przychodnie i szpitale. To, co rozgrywało się między lekarzem i pacjentką w prywatnym gabinecie, pozostawało ich medyczną tajemnicą. Liczoną w milionach ówczesnych złotówek.

W 1996 r. klauzuli sumienia nadano już oficjalne ustawowe umocowanie prawne. Prawo antyskrobankowe parę razy uszczelniano, tak by to lekarze szli do więzienia. Potem Trybunał Przyłębskiej przyciął i to. Dziś efekt jest, jaki jest. Kobiety zachodzą, a ginekolodzy skrobią za drobne 4–5 tys. zeta, ale tylko te głupsze pacjentki. Bo wbrew pozorom, ostatni zakaz aborcji nie bardzo nakręcił podaż prywatnym gabinetom. Od wielu już lat ponad 90 proc. aborcji jest robionych proszkami. Przy nich lekarz jest potrzebny tylko po to, żeby zobaczył, czy po „samoistnym poronieniu" z macicy wyleciało wszystko, co miało wylecieć.

Wróćmy jeszcze do lat 90. Ginekolodzy byli zadowoleni, ale reszta lekarzy musiała obejść się smakiem. Niedługo jednak. Pod pretekstem ściągania podatków z prywatnej opieki zdrowotnej państwo wprowadziło ulgę podatkową polegającą na tym, że jak się było u lekarza lub dentysty, to kwotę z faktury za wizytę można było odliczyć sobie od PIT-u. Pretekst był potrzebny tylko po to, by nikt nie przyjrzał się, co ta ulga zrobiła naprawdę. A w rzeczywistości nagoniła prywatnej służbie zdrowia kilkaset procent pacjentów więcej, niż mieli wcześniej. Pacjenci zostawili prywaciarzom w białych kitlach w czasie paru lat obowiązywania ulgi tyle pieniędzy, że zaczęły z tego powstawać pierwsze sieci przychodni i gabinetów. Dla nieposiadającego wówczas sensownego oprogramowania fiskusa zmiany w przychodach od prywatnych medyków były niemal niezauważalne.

### Skierowanie do gabinetu prywatnego

Z początkiem 1999 r. minął czas udawania. W stworzonym wtedy systemie kas chorych znalazły sobie poczesne miejsce firmy prywatne, w których publiczna opieka zdrowotna zamawiała usługi. Wprowadzone zmiany miały zapewnić „podążanie pieniądza za pacjentem". Oznaczało to, że każdy mógł wybrać swojego lekarza, przychodnię i szpital, w którym chciał się leczyć. Tyle że zaczęły obowiązywać limity. Początkowo nikt się tym nie przejmował. Do czasu, aż prywatna służba zdrowia zaczęła odnotowywać znaczący spadek przychodów. Przykręcono zatem śrubę i zmuszono szpitale tudzież przychodnie do respektowania ograniczeń. Gdy te zaczęły przestrzegać finansowych obligów, okazywało się, że od września do końca roku szpitale można zamykać na klucz, bo nikt im za leczenie nie zapłaci. Nie trzeba chyba dodawać, dokąd szli po poradę ci, których publiczny szpital zapraszał za kilka miesięcy.

Uszczelnienie finansowe państwo sprzedawało pospólstwu jako walkę o lepsze wykorzystywanie pieniędzy na leczenie. Czyli marnotrawiono moce publicznych szpitali i przychodni jedynie dla dobra pacjenta.

Buzkowa reforma z 1999 r. wprowadziła też – dla dobra pacjenta, a jakże – lekarza pierwszego kontaktu. Taki lekarz miał przyjmować pacjentów, a gdy z jakąś jednostką chorobową nie mógł sobie poradzić, to miał kierować chorego do specjalisty lub na badania. Tyle tylko, że za to musiał płacić z własnej zakontraktowanej kasy. Wolał więc nie płacić. Co pozostawało pacjentowi, który czuł się mocno niedoleczony? Wysupłać złotówki i pobiec do prywatnego gabinetu. Mechanizm napędzania szmalu prywaciarzom hulał w najlepsze.

Po AWS do władzy przyszedł SLD i kasy chorych pogonił. Powołał czapę zdrowotno-nadzorczą o nazwie Narodowy Fundusz Zdrowia. Poza tym nic się nie zmieniło. Lekarze pierwszego kontaktu chorych nie kierowali, a szpitalom i przychodniom patrzono coraz bardziej na ręce i w przypadkach przekraczania zakontraktowanych świadczeń dawano po łapach. Po jakimś czasie placówki doszły do wniosku, że z koniem kopać się nie ma sensu, więc zrestrukturyzowały się tak, by w ostatnim kwartale roku też mieć co robić. A ponieważ liczby zakontraktowanych usług medycznych nikt im nie zwiększył, wprowadziły wewnętrzne limity miesięczne, a potem zwolniły część lekarzy i pielęgniarek. Dzięki nowej zasadzie limitowanego leczenia pacjenci dowiadywali się, że na kardiologa załapią się na pogotowiu po zawale lub za półtora roku w przychodni. Rekordzistami byli monterzy endoprotez, którzy wyznaczali terminy operacji za kilka lat. Kto z pacjentów mógł, uciekał do coraz śmielej rozwijających się sieciówek medycznych.

Wielką pomocą w ich rozwoju okazywał się rząd, a szczególnie niegdysiejszy tuskowy minister finansów Jacek Rostowski. Jakoś przez lata nikomu w tym ministerstwie nie wpadło do głowy, że państwo traci na podatku dochodowym od firm, a pieniądz ten wędruje do różnych medicoverów i elmedów. W początku tego tysiąclecia standardem w firmach było wykupywanie pracownikom abonamentów w prywatnej służbie zdrowia. Wydana kasa szła w koszty, a nie w płace, a pracownicy się cieszyli. O radości sieciówek świadczyły łapówki, które jeden czy drugi menedżer dostawał pod stołem za nakłonienie zarządu do zapisania personelu do takiej firmy. Dynamiczny rozwój sieciówek trwał przez dobre 10 lat, aż ministrowi Rostowskiemu znudziła się ta ciuciubabka i zaczął wliczać zdrowotne abonamenty do płac, czyli ściągać z nich podatek.

Jednak skok na kasę, którego dokonało prywatne lecznictwo, najlepiej obrazują dwie liczby. W roku 2006 Polacy wydali na prywatne leczenie 19 mld zł, a w 2011 już prawie 31 mld zł.

Napychanie niepublicznych kieszeni przez państwo szło w najlepsze.

### Od ściany, do kieszeni

Po wprowadzeniu NFZ Trybunał Konstytucyjny przyczepił się do kilku zapisów, a na dodatek wywnioskował, że ustawa musi nakazywać ministerstwu stworzenie listy świadczeń negatywnych, czyli takiego rodzaju usług medycznych, co to go się w ramach NFZ – czyli z ubezpieczenia społecznego – nie będzie robiło, ale już za kaskę jak najbardziej. W 2004 r. wymyślono taką listę. Jej największym kuriozum było to, że w ramach ubezpieczenia dentysta leczył taki a taki ząb, ale wypełniał go czymś, czego zastosowanie w świecie cywilizowanym skończyło się kilka dekad wcześniej. A jak ktoś winszował sobie współczesną plombę, to miał wyskoczyć z własnych pieniędzy. Dzięki prospołecznym dyrektywom Trybunału gabinety dentystyczne i mnóstwo innych zaczęły robić kokosy.

Koło roku 2008 pojawiła się koncepcja doubezpieczania się. Doubezpieczony pacjent miał mieć szybciej i lepiej. Tyle że kasę przechwytywałby szpital. Na coś takiego prywatny biznes medyczny pozwolić nie mógł, bo szpitale były wciąż publiczne. Pomysł zatem zdechł.

Wrócił wraz z procesem komercjalizacji, czyli uprywatniania szpitali. Reguły były czytelne. Właścicielem lecznic był samorząd. Nie dawał sobie rady z prowadzeniem, więc najpierw wydzierżawiał co się da, a potem – z tym, co mu zostało – miał wchodzić z kimś w spółkę. Najczęściej, zostając wspólnikiem mniejszościowym, czyli niemającym nic do gadania. Po jakimś czasie i paru kombinacjach w udziałach, samorząd zostawałby z niczym, a szpital stawałby się jednostką na wskroś nowoczesną i zdrową, bo prywatną. Dzięki takiemu mykowi komercjalizacyjnemu prywatny biznes – za nieduże pieniądze – przejąć miał całkiem niezgorszy majątek. Na szczęście, cała ta koncepcja śmierdziała tak wielkim przekrętem, że rząd Ewy Kopacz sobie odpuścił.

Ale finansowanie prywatnej medycyny postępowało. Dowodzi tego choćby niegdysiejsze opłacanie przez państwo zapłodnienia pozaustrojowego. Idea ta, choć słuszna i zbawienna, też nie przeszłaby do fazy realizacji, gdyby nie to, że gros pieniędzy z kasy publicznej popłynęło do specjalizujących się w probówkowym rozmnażaniu firm prywatnych.

Czy w państwie PiS, miłującym ponoć własność państwową, stało się prywatnym firmom medycznym coś złego? No nie bardzo. Prywatna służba zdrowia rozkwitła wręcz przy kolejnych programach zdrowotnych. Napędzały jej pacjentów kilkunastogodzinne kolejki na szpitalnych oddziałach ratunkowych (SOR), wtopy z pomysłem ministra Konstantego Radziwiłła na sieci szpitali i chaos z programem wychodzenia z pomysłu sieci szpitali. Prywatnym praktykom i klinikom dobrze zrobiły kolejne zamieszania z leczeniem raka, gdy pacjenci, co to mieli być błyskawicznie diagnozowani i leczeni, zostawali sami ze swoją chorobą. Największym osiągnięciem PiS okazała się jednak podwyżka uposażeń lekarzy i pielęgniarek. Dziś medycy pracujący w publicznej służbie zdrowia zarabiają bardziej niż godnie. Dzięki czemu świadomość lekarskich zarobków przeniknęła do głów pacjentów. Oczywiście wzrost płac lekarzy nie przełożył się na efektywność ich pracy, więc ludzie chorzy, żeby się leczyć, idą po poradę prywatną. A skoro wiedzą, że byle lekarz w szpitalu zarabia dziesiątki tysięcy złotych, to nie dziwią się, że za wizytę w prywatnej przychodni, czy gabinecie, muszą płacić po kilkaset złotych.

**Dzięki temu w 2022 r. na niepubliczną służbę zdrowia wydaliśmy z własnych kieszeni ponad 50 mld zł. Szacunki mówią, że w tym roku prywatnym medykom zostawimy już 70 mld zł.**

**TADEUSZ JASIŃSKI**

## Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Niestety* ***nowa lewica,*** *która przejęła władzę nie tylko w Polsce, lewica, która sprawuje dyktat niemal w całym tzw. zachodnim świecie, odbiera naukowcom wolność myślenia.* ***Ideolodzy stosują brutalną formę opresji na naukowcach, którzy nie chcą się poddać temu terrorowi. To dlatego w ośrodkach akademickich coraz częściej mamy do czynienia z karykaturą prawdy i karykaturą nauki.*** *(…) Mimo dynamicznego rozwoju nauki, w sensie odkryć naukowych, nauka w rozumieniu poznawania prawdy wyraźnie „się zwija". (…) Podobnie jak komunizm wykorzystywał naukę do walki klas, tak* ***dziś neomarksiści wykorzystują naukę do walki z prawdą, do walki z człowiekiem.***

**prof. Piotr Jaroszyński, „Nasz Dziennik", 19 maja**

■ *Chrześcijaństwo jest niewygodne, bo mamy biznesy aborcyjne, na które chrześcijaństwo mówi NIE. Człowiek ma swoją godność, bo jest stworzony na obraz i podobieństwo Boże, i aborcja ani eutanazja nie wchodzą w grę.* ***Chrześcijaństwo ze swoim nauczaniem moralnym stoi na poprzek dzisiejszym modom.***

**ks. prof. Waldemar Cisło, PCh24.pl, 21 maja**

■ *W tym momencie* ***lewicowi politycy próbują ukraść nam Europę.*** *(…) Wszelkie nawiązania do historii, tradycji, hagiografii, symboliki mają zostać wyrzucone i schowane w przestrzeni prywatnej. To jest argument rodem z rewolucji francuskiej. Tak naprawdę to, co za tym się kryje,* ***to nawet nie chęć cenzurowania treści, ale zastąpienia ich innymi, takim kultem materializmu, pewnej doczesności i egoizmu. (…) Jeśli Unia Europejska będzie za nas decydowała, to na pewno definicja małżeństwa jako kobiety i mężczyzny upadnie w Polsce i zostanie wprowadzona definicja psychologiczna płci,*** *czyli każdy ma prawo samemu zdefiniować, kim się czuje i za kogo się uważa.*

**Tobiasz Bocheński (PiS), TV Trwam, 22 maja**

■ *Chrześcijan w starożytności skazywano za ateizm. Również świat liberalny to czyni –* ***skazuje za brak oddawania czci współczesnym bogom: wolności zabijania dzieci i starców, wyboru płci i życia wbrew naturze, kultu zwierząt i klimatu.***

**ks. Janusz Chyła, X, 22 maja**



eprasa.pl dff6013e1c

# Zdrowie w cieniu Leszczyny

# Recepta na porażkę

W ochronie zdrowia tak już jest, że każda kolejna ekipa, niezależnie od opcji politycznej, powoduje tąpnięcie, po którym grunt nie wraca już do poprzedniego poziomu. Po ośmiu latach pisowskiej dewastacji zarówno środowisko lekarskie, jak i szeroko rozumiany organizm pacjencki, z ulgą i sporą dozą wyrozumiałości przyjęły nowy zespół zarządzający zdrowotnym pierdolnikiem. Nikt się nie spodziewał fajerwerków, ale wszystkie strony po cichu liczyły, że dzięki nowej ministrze wykoci się coś pozytywnego. Niestety, z każdym kolejnym miesiącem zamiast dobrodusznego poklepywania po ministerialnych plecach, echem niesie się życzenie pierdolnięcia się przez Ministerstwo Zdrowia gumowym młotkiem w łeb. A przyczyn tego stanu rzeczy przybywa z każdym jego ruchem, bo wpadka goni wpadkę.

## Nędzomat

Ministerstwu Zdrowia podlega tzw. Centrum e-Zdrowia, które realizuje przedsięwzięcia informatyczne kluczowe dla funkcjonowania obszaru ochrony zdrowia w Polsce. Flagowym produktem Centrum e-Zdrowia jest system e-zdrowie (P1). Stanowi on podstawę cyfrowego ekosystemu usług medycznych. Gromadzi w jednym miejscu dane o przebiegu leczenia, jak np. e-skierowania, historię wizyt czy e-recepty. Brzmi fajnie, profesjonalnie i tak jakby przybliża polski zapyziały zaścianek do cywilizacji – niestety, tylko pozornie.

Na początku marca wprowadzono zmiany w sposobie realizacji rocznych e-recept. Dotychczas system P1 obliczał dopuszczalną ilość leków na całoroczną receptę, które mogły być wydane pacjentowi w aptece. Ministerstwo Zdrowia i informatycy z Centrum e-Zdrowia postanowili system ulepszyć tak, żeby precyzyjnie wyliczał dawki leków na całorocznych receptach. Narodził się dawkomat – aplikacja, która zaczęła przeliczać jednostki ze starych, dobrze znanych kropli, tabletek i wziewów na mililitry. A był to jeden z wielu granatów, które miały eksplodować w tym okopie. Pacjent zamiast przykładowych „trzech kropli do każdego oka dwa razy dziennie" wedle nowego systemu miał otrzymać zalecenie władowania dawki „0,06 ml leku do każdego oka dwa razy dziennie". Nie trzeba być jasnowidzem, żeby przewidzieć smarkate skutki tego burdelu. Porozumienie Pracodawców Ochrony Zdrowia (PPOZ), Porozumienie Rezydentów OZZL i inne organizacje lekarskie zaczęły bić na alarm. W liście skierowanym do ministry zdrowia Izabeli Leszczyny PPOZ zaapelowało o przesunięcie terminu wprowadzenia dawkomatu na leki, a przede wszystkim – o zachowanie dotychczasowych szablonów dawkowania leków, w tym m.in. saszetek, kropli czy tabletek. Testowany przez lekarzy system wywalał kolejne babole: nie potrafił określić czasu kuracji dla leków wieloskładnikowych, przy przepisywaniu mleka modyfikowanego dla dzieci nie obsługiwał dawek na siedem karmień dziennie itd. Długo by wymieniać. Lekarze, pacjenci i aptekarze dostawali kurwicy.

W końcu środowisko medyczne poszło tam, gdzie mogło zostać zauważone – na platformę X (dawnego Twittera) i wyłuszczyło czarno na białym, że zmodyfikowany system stanowi zagrożenie dla pacjentów i naraża lekarzy na odpowiedzialność karną w przypadku niewłaściwego wystawienia recepty. Po fali ciężkich jobów ministra Leszczyna napisała na platformie: „To kolejne decyzje poprzedników, które staram się naprawić, początkowo przez przesunięcie terminu wejścia w życie, a teraz przez ich likwidację. Nie będzie zmian utrudniających życie lekarzom i pacjentom". To ciekawe, bo jeszcze kilka miesięcy temu to samo Ministerstwo Zdrowia zarządzane przez tę samą ministrę, jak pijany przekonany o własnej racji, szło w zaparte. „Apteki to nie sklepy, ale placówki ochrony zdrowia. Opieka farmaceutyczna prowadzona w aptekach, w tym szczepienia i prowadzenie profilaktyki, może skutecznie wesprzeć lekarzy" – poinformował wówczas bezczelnie resort i zapewnił, że „pacjenci i lekarze mogą skorzystać z pomocy farmaceutów, działając w imię skutecznego leczenia i dawkowania wolnych od wątpliwości". Wychodzi zatem na to, że

Rys. JANUARY

**ministerstwo ukorzyło się dopiero, kiedy nijak nie dało się dopchnąć kolanem bubla, bo w mediach społecznościowych rozlał się syf.**

Jakby nie zaszpachlować tego incydentu zapewnieniami o byciu otwartym na współpracę, spod spodu niestety przebija gówniana historia. Na szczęście można wygodnie zwalić winę na poprzedników.

## Płodozmian

Według badań naukowych, większość ludzi poprawnie szacuje prawdopodobieństwo zdarzeń losowych. Specjaliści z Ministerstwa Zdrowia najwyraźniej zaliczają się do elitarnej mniejszości, która ma z tym spory problem.

Od grudnia 2023 r. nieobsadzone pozostaje stanowisko wojewódzkiego konsultanta ds. ginekologii i położnictwa na Dolnym Śląsku. Jako pierwszy na stołek kandydował prof. Mariusz Zimmer z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu. Zaprotestowali ordynatorzy wszystkich trzech wrocławskich porodówek. W liście do wojewody dolnośląskiego Macieja Awiżenia zaznaczyli, że za jego kadencji spadła liczba porodów i zabiegów operacyjnych, a dodatkowo sam profesor miał doprowadzić do załamania sytuacji kadrowej i finansowej kliniki. Z uwagi na sposób zarządzania kliniką, z pracy w niej miało zrezygnować 40 lekarzy. Do wojewody napisała również walcząca o sprawy kobiet fundacja FEDERA, przypominając, że lekarz nie wykonał aborcji pacjentce, która miała zaświadczenie lekarskie stwierdzające, że ciąża zagraża jej zdrowiu psychicznemu i życiu. W odpowiedzi na izbie przyjęć USK we Wrocławiu kobieta usłyszała, że w tym szpitalu nie przerywa się ciąży. Co więcej, zostało to oficjalnie potwierdzone przez rzecznika praw pacjenta. Wojewoda długo się wahał i zrezygnował z Zimmera dopiero wskutek medialnego nacisku. Ministra Leszczyna napisała w social mediach: „W świetle stwierdzenia przez Rzecznika Praw Pacjenta naruszenia praw pacjenta przez doktora Zimmera Wojewoda Dolnośląski odstąpił od powołania go na stanowisko konsultanta wojewódzkiego w dziedzinie położnictwa. Decyzję wojewody przyjęłam z satysfakcją". Oklaski rozległy się z najdalszej części sali, chociaż – gwoli ścisłości – konsultantów wojewódzkich powołuje wojewoda po rekomendacji środowiska medycznego lokalnej izby lekarskiej w porozumieniu z ministrem zdrowia. Po licznych publikacjach prasowych MZ oświadczyło, że lekarze, którzy narażali zdrowie i życie kobiet, odmawiając terminacji ciąży zgodnej z polskim prawem, nie zostaną powołani na konsultantów krajowych i wojewódzkich. Srali muchy, będzie wiosna.

W połowie maja okazało się, że Roman Puskarz, kolejny kandydat na to zaszczytne stanowisko, też ma kiepskie portfolio. Puskarz jest szefem porodówki w Specjalistycznym Szpitalu Ginekologiczno-Położniczym im. Biernackiego w Wałbrzychu i jednocześnie jego dyrektorem ds. medycznych. W raportach do NFZ szpital wykazał, że w 2018, 2019 i 2020 r. wykonano odpowiednio 6, 3 i 1 indukcję poronienia, w kolejnych trzech latach – żadnej. Krótko mówiąc, jeśli nie zanotowano indukcji poronień, to nie przeprowadzano również aborcji.

## Perfumeria

Smaczku sprawie dodaje fakt, że równolegle odrzucono kandydaturę rekomendowanej przez środowiska kobiece ginekolożki Gizeli Jagielskiej, lekarki, która przeprowadziła najwięcej legalnych aborcji za rządów PiS. Jej kandydaturę zgłosiła szefowa Lewicy Kobiet Katarzyna Lubiniecka-Różyło. Powodem, dla którego utrącono tę kandydaturę, był fakt, iż Jagielska zamieściła w mediach społecznościowych kontrowersyjny apel do ciężarnych, żeby się nie obżerały. „Zamknij lodówkę. Ułatwisz życie nam i sobie" – napisała lekarka, co wkurwiło rzecznika praw pacjenta i zakończyło się laniem od okręgowego sądu lekarskiego. Z tych powodów samorząd lekarski ocenił, że Jagielska „nie daje rękojmi należytego i bezstronnego wykonywania zadań konsultanta wojewódzkiego w dziedzinie położnictwa i ginekologii". Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. Wojewodzie jednak ten antybenefis wystarczył i wiele wskazuje, że przychyli się do rekomendacji kandydatury Puskarza. Chyba, że śmigło medialnej gównoburzy znowu rozkręci się na tyle, żeby przemówić do ministerialnego rozsądku.

Ministerstwo Zdrowia to niewątpliwie niewdzięczny do zarządzania resort. Ulica toczy na decydentów wyzwiska jak rzeka wodę, gdyby zaś spersonifikować system zdrowia, którym ów ministerialny organ zarządza, przypominałby on tego wrośniętego w kanapę, lekko nadgniłego pacjenta z robakami w zakamarkach fałd, którego straż pożarna wyciągnęła z zapomnianego przez świat mieszkania. Krótko mówiąc, ciężko zrobić ze stajni Augiasza perfumerię. Problem w tym, że kierowane przez Izabelę Leszczynę ministerstwo, zamiast sprzątać, dorzuca gęstego. Gdyby MZ choć w połowie dbało o swoje podwórko tak jak o marketing, być może środowisko ochrony zdrowia z czasem przestałoby przypominać szaberplac. Póki co ekipa Leszczyny przywodzi na myśl pijane dziecko we mgle, które nie rozbiło sobie łba o drzewa tylko dzięki czujności lekarzy i dziennikarzy. To kiepska wróżba na przyszłość.

**IDALIA DUBICKA**

Rys. WIDGET

■ *Do sumienia oddanego szatanowi nie przemówi żaden argument. Rozwiązaniem jest walka o wartości.* ***To, czego nie można dać władzy przejawiającej obłąkany stan walki z chrześcijaństwem, to święty spokój i komfort.*** *Muszą ciągle sobie uświadamiać, że* ***zadarli z Kimś bardzo potężnym.***

**ks. Daniel Wachowiak, X, 22 maja**

■ *W dzisiejszym świecie* ***„wykluczonych" przybywa. „Wykluczone" są kobiety, „wykluczeni" są transwestyci, „wykluczeni" są muzułmanie etc.*** *Ciągle znajduje się nowych „wykluczonych", o których prawa trzeba walczyć. Nie chodzi tutaj jednak o prawa w takim sensie, jak rozumiał je Marks, ale o „prawa" ideologiczne, a te wyrastają z ateizmu. Tak więc ateizm jest tutaj absolutnym kluczem. Był on kluczem dla Marksa i jest on kluczem dla jego uczniów, naśladowców, wyznawców. (…)* ***To wszystko jest jednym wielkim kłamstwem, ponieważ w żadnej mierze, żadną metodą naukową nie można udowodnić nieistnienia Boga. Istnienie Boga wynika z metafizyki, z religii i w końcu z wiary.***

**prof. Wojciech Roszkowski, PCh24.pl, 20 maja**

■ *Obrońcy błogosławienia pary homoseksualnej oddzielają niekiedy jej trwanie w grzechu od innych aspektów relacji. (…) Niedopuszczalne jest także zestawianie grzechu przeciwko naturze z parami w sytuacji nieregularnej. Dotychczas Kościół towarzyszył konkubinatom i związkom cywilnym w nadziei, że po ustaniu przeszkód mogą stać się małżeństwami sakramentalnymi.* ***Ponadto związki niesakramentalne realizują zgodnie z naturą ludzką powołanie rodzicielskie i są rodzinami. Tego nie można w żaden sposób powiedzieć o parach homoseksualnych.*** *Proponowana praktyka błogosławienia homoseksualistów stoi w sprzeczności z nauczaniem św. Jana Pawła II.* ***Papież Polak zwracał uwagę na brak głębokiej więzi międzyosobowej u par homoseksualnych, w których nie jest możliwe wzajemne dopełnienie się osób na poziomie psychicznym.***

**ks. Beniamin Sęktas, „List otwarty polskiego kapłana do polskich biskupów", PCh24.pl, 23 maja**

**KLECHA**

Rys. MIROSŁAW HAJNOS



eprasa.pl dff6013e1c

# Palec w dziurze to nie grzech

## Lis przedawnienie świętujący.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Szymon Jadczak na łamach Wirtualnej Polski napisał, że prokuratura umorzyła dochodzenie w sprawie zachowań Tomasza Lisa. Wątek naruszenia nietykalności cielesnej dwóch współpracowniczek poszedł w kibel z powodu przedawnienia karalności czynu. Dawno nic mnie tak nie ucieszyło, bo nie ma lepszej rozrywki niż igrzyska hipokryzji wśród polskiego establishmentu.

### Szklanką po łapkach

Równo dwa lata temu Ringier Axel Springer Polska pozbył się w trybie natychmiastowym redaktora naczelnego „Newsweeka" Tomasza Lisa. Wydawca nie podał wówczas przyczyn tej decyzji, sam Lis również nie chciał komentować powodów zwolnienia. Media szybko obiegły doniesienia o jego śliskich zachowaniach wobec podwładnych. Wszystko wskazywało na to, że Lisowi zawodowe obserwowanie patologii popierdoliło się z czynnym jej uprawianiem. Z relacji ekipy „Newsweeka" wynikało, że pracowali oni w atmosferze sukcesywnego gnojenia. Lis miał pozwalać sobie na wulgarne i seksistowskie odzywki, wyśmiewać wygląd dziennikarzy, sadzić spleśniałe żarty o osobach nieheteronormatywnych, a oburzonym mało sympatycznie sugerować, że mogą wypierdalać. Dodatkowo, jak przekazywali dziennikarze: „mówił, że jest mściwy i ma długie ręce". Tomasz Lis zaprzeczył wszystkim zarzutom, do prokuratury trafił jednak szereg zawiadomień o możliwości popełnienia przez niego przestępstwa.

W sierpniu 2022 r. dochodzenie w tej sprawie wszczęła Prokuratura Okręgowa w Warszawie. Śledczy prowadzili je pod kątem uporczywego i złośliwego naruszania praw pracowniczych oraz naruszenia nietykalności cielesnej. Przez blisko dwa lata przesłuchano kilkudziesięciu świadków, w tym menedżerów i pracowników wydawnictwa Ringier Axel Springer Polska oraz inne osoby powiązane ze sprawą. W kwietniu 2024 r. dochodzenie umorzono. Jadczak sprzedał newsa 22 maja. Kompas szeroko pojętej opinii publicznej skalibrował się w jednym kierunku z prędkością konia, który wyczuł stajnię.

„Zero tryumfalizmu ani satysfakcji. Raczej ulga. Decyzja o umorzeniu mojej sprawy to chwila radości dla moich najbliższych po tym jak przez dwa lara zafundowano im piekło, a teraz widać, że od początku mówiłem prawdę. To oni zasługują na przeprosiny i za ich cierpienia przepraszam. A za wielkie wsparcie w tym czasie ze strony masy zwykłych ludzi, serdecznie dziękuję. YNWA" – napisał w swoich social mediach Lis. YNWA to skrót od hasła You'll Never Walk Alone – nigdy nie będziesz szedł sam. W tym momencie porównanie Tomasza Lisa do idioty stanowiłoby śmiertelną obrazę dla tego drugiego.

### Złodziej cudzego cierpienia

Z dokumentu, do którego dotarła Wirtualna Polska, wynika, że Lis stracił funkcję tuż po zgłoszeniu przez jedną z kobiet naruszenia nietykalności o podłożu seksualnym. Na 18 stronach uzasadnienia śledczy opisali przykłady radosnych poczynań pana redaktora i – jakby to ująć – jest na czym zawiesić oko. „Gdy pewnego razu, kiedy nosiła spodnie z dziurami, Tomasz Lis w czasie makijażu, włożył swoje palce w dziury w spodniach makijażystki na wysokości ud. Kobieta, w pierwszym odruchu, odskoczyła. Redaktor naczelny »Newsweeka« nigdy nie przeprosił za swoje zachowania, gdy widział, że kobieta nie życzy sobie takich sytuacji"; „Poszkodowana kobieta zeznała, że Tomasz Lis miał pójść za nią przyspieszonym krokiem, złapać ją za twarz, przycisnąć do ściany i pocałować w policzek, mimo że kobieta próbowała się wyrwać" – można przeczytać w przytoczonych fragmentach pisma. Zaatakowana kobieta zgłosiła zachowanie Lisa bezpośredniej przełożonej. Tydzień później, 23 maja o całej sprawie został powiadomiony dział HR RASP. Na drugi dzień Tomasz Lis pożegnał się z firmą. W świetle tych zeznań użycie przez Lisa hasła ze Strajku Kobiet pasuje jak granat do kinderbalu. Był jednak to dopiero zalążek szerokiego spektrum jebania logiki.

Elity publicystycznej oligarchii na wyścigi zaczęły urządzać bieg przez płotki zdrowego rozsądku w social mediach. „Krótko tam byłem, ale wszystko mogę potwierdzić: Lis czasem trzymał nogi na biurku, ale my także. I używał brzydkich słów, ale to nie było »L'Osservatore Romano«. I opowiadał sprośne dowcipy, ale bardzo śmieszne. Niech rzuci kamieniem, kto się z nich nie śmiał" – napisał dziennikarz Cezary Łazarewicz. „Bądźmy precyzyjni: włożył palce przez dziurę w spodniach makijażystki na wysokości uda. Uważam, że to naganne, ale prokuratura nie uznała tego za przestępstwo molestowania" – dodał tyleż samo obleśnie, co nieprecyzyjnie.

Wybitnej rozrywki mógł dostarczyć wpis medialnej gwiazdy psychoterapii Mai Herman, która asekuracyjnie udostępniła wpis innej internautki: „Purytanie kultury cancel gotowi są spalić na stosie każdego, kto nie podzieli ich spojrzenia na sprawę. Spojrzenia, jakie kategorycznie narzuca od początku tej sprawy redaktor Jadczak. (…) Zawsze będę bronić prawa kobiety do wyboru, do równych praw. Do dochodzenia sprawiedliwości, kiedy jej prawa zostały naruszone. Nie oznacza to jednak, że za każdym razem będę tańczyła w rytmie nadawanym przez pałeczkę jakiegoś redaktora, zwłaszcza kiedy bardzo źle kryje swoją niechęć do konkurenta, w którego stronę rzuca oskarżenia. Ani nie będę tańczyła w rytmie rozhisteryzowanego mobu domagającego się linczu na podstawie przesłanek, bez przeprowadzonego rzetelnego procesu sądowego". „Bardzo się z tym zgadzam" – oświadczyła pani Herman – o, ironio! – współautorka e-booka „Narcyz w twoim domu". Komentarze ze słowami wsparcia zbiły się w masę, na widok której podrywały się muchy.

Jak podkreślił Jadczak, „prokuratorka prowadząca zakwalifikowała sprawę zachowania Tomasza Lisa wobec dwóch współpracowniczek jako mogące naruszać artykuł Kodeksu karnego dotyczący naruszenia nietykalności cielesnej. Tego typu przestępstwo przedawnia się po roku od jego popełnienia. Do przedawnienia doszło więc w maju 2023 roku, a przesłuchania kobiet miały miejsce dopiero w drugiej połowie 2023 roku".

Tym samym wszyscy ci, którzy zaciekle wylizują rany na ego Lisa, świętując przedawnienie (a nie uniewinnienie od) molestowania, kojarzą się ze starym dobrym schematem z powiedzenia „nie jestem rasistą, ale uważam, że asfalt powinien leżeć na swoim miejscu".

### Bicie mobberskiego konia

Z uzasadnieniem umorzenia postępowania w sprawie mobbingu prokuratura poleciała sobie w prącie po całości: „Tomasz Lis nie był mobberem. Był szefem, którego styl zarządzania zatrzymał się w latach 90. – jego grubiańskie zachowania, dowcipy z seksualnym podtekstem, straszenie utratą pracy, władczy styl zarządzania budziły coraz większy sprzeciw podległych mu osób. Do redakcji »Newsweeka« przychodzić zaczęli również ludzie młodzi, wychowani w nowoczesnym społeczeństwie, którzy zupełnie nie rozumieli, że model zarządzania naczelnego »Newsweeka« był kiedyś standardem w mediach i oceniali go jako nieakceptowalny". Idąc tym tokiem myślenia, wylewanie wiader ze szczynami i gównami przez okno na chodnik także nie powinno oburzać, bo widocznie styl zarządzania fekaliami w danym gospodarstwie nie poszedł z duchem czasu, a więc nie ma sprawy.

Chcąc nie chcąc, przypomina się historia Marcina Kąckiego sprzed pół roku, kiedy to po publikacji jego tekstu-spowiedzi w „Gazecie Wyborczej" dziennikarka Karolina Rogaska ujawniła, że była ofiarą molestowania ze strony dziennikarza. „Nie mogę już milczeć, chociaż wiem, że może się to wiązać z linczem. Wiem, niestety, jak traktuje się ofiary. Ale mam już dość, jestem zmęczona kultem oprawców. Tym, że ludzie czytają tekst Kąckiego i biją mu brawo, nie zastanawiając się nad tym, co z tymi dziesiątkami ofiar, które w nim wymienia" – napisała we wstępie swojego emocjonującego oświadczenia. Choć przez media przetoczyło się wówczas tsunami oburzenia wobec chujowego występku domniemanego (wszak proces się nie odbył) molestatora, nieliczni wróżyli, że ujawnienie afery – w dłuższej perspektywie – gówno da i niewiele zmieni w podobnych tej historiach. Jak widać, mieli rację. To, że przeciągnięcie sprawy skutecznie zeruje winy, jest świetną wiadomością dla Lisa i jemu podobnych. Dura lex, sed lex.

**IDALIA DUBICKA**

## Gdy się nie ma Alzheimera, to strach się bać stu konkretów Tuska.

Obiecywano już emerytom wczasy pod palmami. Pociągi śmigające 300 km/h – też. Z tych pierwszych bajań zostało to, że dzięki zmianom klimatu palmy zaczną u nas rosnąć same. Druga zaś bajka zmieniła się w niewychylne Pendolino jeżdżące z prędkością taką, jak jeździły kilkunastokrotnie tańsze pociągi jakieś 30 lat temu.

Podobnych rozbłysków nadziei przerabialiśmy w minionych trzech dekadach dużo więcej. Prawdziwym wysypem niezrealizowanych pomysłów na ogólnopolską szczęśliwość były jednak czasy PiS. Co nie znaczy, że w latach 2007–2015, kiedy Platforma rządziła wraz z PSL, mamiono nas wyłącznie ciepłą wodą w kranie.

### Portfel pełen euro

We wrześniu 2008 r. w Krynicy premier Tusk rzekł: „Rok 2011 jest realnym, choć trudnym terminem wejścia Polski do strefy euro. Referendum w sprawie euro nie będzie". Miesiąc później Rada Ministrów przyjęła tzw. mapę drogową wejścia Polski do strefy euro. Zakładała ona, że jeśli nic nie zakłóci realizacji harmonogramu, to zastąpienie złotego wspólną unijną walutą będzie możliwe 1 stycznia 2012 r.

Po dwóch latach, w 2010 r., Tuskowi zmiękła rura. Powiedział, że „Polska zastanowi się nad datą przyjęcia euro, kiedy spełni warunki dyscypliny budżetowej, wprowadzi zmiany w konstytucji i będzie pożądana przez partnerów w strefie euro. Dzisiaj trudno powiedzieć, kiedy to będzie – za rok, dwa czy trzy lata". I tak zostało, choć pod koniec rządów PO–PSL mogliśmy euro mieć.

Żeby przyjąć tę walutę, muszą zostać spełnione warunki wymienione w traktacie z Maastricht, czyli kryteria konwergencji. Znaczy, żeby inflacja nie była wyższa o 1,5 pkt proc. od średniej stopy inflacji w trzech państwach UE. Żeby dług publiczny nie był wyższy niż 60 proc. PKB, no i żeby deficyt budżetowy miał mniej niż 3 proc.

I jeszcze jedno: długoterminowym stopom procentowym nie wolno o więcej niż 2 pkt proc. przekraczać średniej stóp procentowych w trzech państwach UE o najniższej inflacji. Wszystkie te kryteria przed rządami PiS spełnialiśmy. Tusk szefował Radzie Europejskiej i w euro zarabiał, Polacy zaś – nie.

### Atomowe gniazdka

W 2009 r. rząd Tuska ruszył z ogromnym entuzjazmem do budowy elektrowni atomowej. Była mowa o wielkim, wręcz cywilizacyjnym wyzwaniu.

Po sześciu latach przygotowano szereg przepisów ustanawiających wyśrubowane normy bezpieczeństwa. Gadano z mieszkańcami. Tyle że mieszkańcy gadać nie chcieli. I dlatego wyłonienie trzech potencjalnych lokalizacji (Żarnowiec, Choczewo i Gąski) nie gwarantowało, że coś się tam da wybudować.

## WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Policjanci zatrzymali 63-letniego mężczyznę, który podłożył granat moździerzowy pod tory kolejowe w Czechowicach-Dziedzicach. Granat był radziecki, a mężczyzna był polski. Jak policja trafiła na ślad terrorysty, skąd wziął on pocisk i po co podkładał, skoro nie wybuchł, nie ujawniono z powodu ważnego interesu państwowego.

▮ Do równie enigmatycznego incydentu doszło we Wrocławiu, gdzie o piątej nad ranem starsza kobieta wyrywała świeżo nasadzone zielsko na przystanku tramwajowym. W centrum miasta. Nie było szans, aby chuligaństwo uszło uwadze stosownych służb – więc nie uszło. Wyrwaną zieleniną zajęła się miejscowa straż miejska. Potem tamtejsza policja aresztowała samozwańczą ogrodniczkę. Przy okazji się okazało, że nasadzenie roślinek na jednym przystanku we Wrocławiu kosztuje 40 tys. zł. Policja traktuje tę grandę w biały dzień za niebyłą.

▮ Organizacja mieniąca się Światową Encyklopedią Smaków „TasteAtlas" uznała, że polska szarlotka jest najlepszym słodkim ciastem na świecie. Jest to oczywiście nie do końca i nie w całej rozciągłości prawda. Nazwa tego „polskiego" ciastka pochodzi od znanej jako Charlotta Pruska żony cara Rosji Mikołaja I. Przepis na szarlotkę opracował Marie-Antoine Carême, francuski cukiernik służący na carskim dworze.

▮ Władze holenderskiego miasta Roosendaal odkupią prowadzony przez Polaka Polski Sklep Swojska Chata za 5,5 mln euro. Warunkiem jest zaprzestanie działalności handlowej, którą ten prowadzi tam od przeszło 10 lat. Delikatnym Holendrom nie pasuje, że nasi rodacy piją piwo w sklepie, sikają przed sklepem oraz robią wszystkie te zabawne rzeczy, jakie robi się na rauszu. Wreszcie nauczyliśmy się biznesu na światowym poziomie.

▮ Jak doniósł portal rolniczy agropolska.pl, na miejskim targowisku w Gdańsku sprzedawano amunicję strzelecką zamiast kalafiorów i truskawek, co zbulwersowało handlujących płodami rolnymi. Nieuczciwą konkurencję zgłoszono policji. Ta ustaliła, że pociski na polski rynek dostarczają 52-letni obywatel Rosji oraz 41-letni obywatel Ukrainy. Oznaczałoby to, że w tych zwaśnionych narodach jednak pojawiła się jakaś nadzieja na zakończenie zbrodniczej wojny. Docenić też należałoby aspekt rozbrojeniowy rzeczonej oferty. Niestety nie w umysłowości polskich gliniarzy. Ci w szlachetnej i propokojowej inicjatywie dostrzegli tylko nielegalny handel bronią. Obu cudzoziemców zamknęli w areszcie.

▮ W agrogospodarstwie Zagroda Warmińska Pszczoła w miejscowości Pruda ktoś zdemolował pasiekę niszcząc 21 uli. 1 mln 680 tys. pszczół straciło dachy nad głowami. Ktosia poszukuje policja. Dałbym od razu czapę. W kategoriach człowieczych to tak, jakby pozbawić domów mieszkańców Warszawy.

▮ O rzucającym na kolana sukcesie polskiej inżynierii doniesiono z Poznania. Dzięki pomyślunkowi uczonych mechaników z Poznańskiego Instytutu Technologicznego skończy się największa udręka ludzkości od czasów wynalezienia rolnictwa. Płacz i zgrzytanie zębów podczas obierania cebuli. Poznaniacy stworzyli działającą linię technologiczną do łuskania cebuli, pozbawiania jej szczypioru i korzenia. Maszyna oczyszcza 1215 kg cebuli mniejszej w godzinę, a 4860 kg, jeżeli główki są większe. Łza się w oku kręci ze wzruszenia.

▮ Sześciu facetów spiło się do nieprzytomności w Tarnowie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że przebywali w miejscowym zakładzie karnym, gdzie obowiązuje bezwzględna abstynencja. Jeszcze dziwniejsze jest, że to nie klawisze się spili, ale osadzeni, którzy nie mają legalnego dostępu do alkoholu. W toku drobiazgowego postępowania wyjaśniającego powstało przypuszczenie, że więźniowie raczyli się wysokoprocentowym płynem



eprasa.pl dff6013e1c

# Obiecanki z długą brodą

Po pięciu latach bicia piany rząd przyjął Program Polskiej Energetyki Jądrowej. Przewidywał on uruchomienie pierwszego bloku pierwszej elektrowni jądrowej do końca 2024 r. Jej koszt szacowano na 40–60 mld zł.

Po kolejnych kilku miesiącach ekipa gratyfikowana co miesiąc przez nabywców prądu odniosła kolejny sukces. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów dał zielone światło dla budowy elektrowni atomowej w Polsce. Urząd uznał, że utworzenie wspólnego przedsiębiorstwa przez PGE, KGHM, Tauron i Eneę nie doprowadzi do ograniczenia konkurencji. Potentaci energetyczni powołali spółkę PGE EJ1. Czyli taką, która miała zbudować pierwszą w Polsce elektrownię jądrową.

Kluczowe słowo to „miała". Jedynym sukcesem PGE EJ1 było bowiem zerwanie kontraktu z australijską firmą WorleyParsons, która prowadziła badania środowiskowe i lokalizacyjne. Kontrakt z Australijczykami opiewał na 252 mln zł. Zrezygnowano z kontrahenta, bo przed podpisaniem umowy nikt nie sprawdził, że interesy Australijczyków w Rosji stanowiły dla spółki z antypodów główne źródło dochodów.

Istotne w tym wszystkim było to, że na czele polskiej energetyki atomowej stanął w 2012 r. Aleksander Grad, który po byciu ministrem u Tuska wskoczył w buty budowniczego reaktora atomowego. Dzięki temu – zdawałoby się odstawieniu od koryta – zarobki skoczyły Gradowi kilkakroć. Jedne szacunki wspominały, że za bycie prezesem Grad dostawał ok. 100 tys. zł miesięcznie, inne – że ledwie 55 tys. zł. Co i tak było trzykrotnością jego poborów jako ministra.

Po wygraniu wyborów w 2015 r.

**PiS nie miało pojęcia, co zrobić z atomem w Polsce. Wiedziało natomiast, że pogrzebanie PGE EJ1 byłoby błędem. Zamiast unicestwić nic nierobiącą firmę, nowa ekipa obsadziła ją swoimi ludźmi.**

Teraz premierem jest znowu Tusk, prąd z atomu ma więc popłynąć, tyle że przynajmniej kilka lat później niż zapowiadano cztery miesiące temu. Później, czyli nigdy?

## Haracz antenowy

Potomstwo rodziców, którzy w przeddzień narodzin swoich dzieci usłyszeli od Tuska, że „abonament radiowo-telewizyjny jest archaicznym sposobem finansowania mediów publicznych, haraczem ściąganym z ludzi, dlatego rząd będzie zabiegał o poparcie prezydenta i opozycji dla jego zniesienia", właśnie kończy drugą klasę szkoły średniej. Tyle czasu nie starczyło, by z tym fantem coś zrobić.

Liczba Polaków płacących dziś abonament radiowo-telewizyjny jest kilkakroć mniejsza niż w 1999 r. Haracz uiszcza niecałe 600 tys. gospodarstw domowych z 13 mln, które posiadają telewizor.

Rys. WIDGET

Prawie nikt już nie rejestruje nowo kupionego odbiornika. Za to w najlepsze trwa straszenie ściąganiem zaległości abonamentowych z pięciu ostatnich lat. Ściągniętych zaległości jest więcej niż tego, co wpływa z bieżących wpłat z abonamentu. Odsetek osób wypełniających obowiązek ustawowy i wnoszących opłaty RTV z roku na rok maleje.

Ustawowy, bo od zapowiedzi Tuska z roku 2008 nikt jakoś nie znalazł innej formuły finansowania mediów publicznych. Koncepcje z zasilaniem wprost z budżetu umarły, zanim się narodziły, a projekt opłaty audiowizualnej też zgasł w gabinetach urzędników. Na 16-letniej obietnicy Tuska tuczą się jedynie komornicy.

## Zagazowane nadzieje

W 2010 r. nasi geolodzy wyciągnęli mapę pokazującą, że pod stopami możemy mieć nawet 1,4 bln metrów sześciennych gazu. Czyli na prawie 100 lat. Ale że nie byli naukowcami amerykańskimi, to media nie wzięły tego poważnie. Gdy jednak w kwietniu 2011 r. Amerykańska Agencja ds. Informacji o Energii ogłosiła, że Polska dysponuje złożami wielkości 5,3 bln metrów sześciennych – czyli ilością, która wystarczyłaby na 300 lat eksploatacji oraz pozwoliłaby przekształcić się w poważnego eksportera gazu – wszyscy doznali orgazmu.

Ruszyła karuzela ustawodawcza. Wyprodukowano prawo powodujące, że dla potencjalnych wydobywców metanu z łupków Polska stawała się autentycznym rajem podatkowym. Po koncesje ustawiła się kolejka chętnych. Chętni chętnie przekupywali równie łasych na szmalec urzędników. Media już widziały nas w roli drugiej Norwegii.

Nie inaczej rząd. Tusk zapowiadał, że od 2014 r. będzie się wydobywać gaz niekonwencjonalny na skalę przemysłową. No i nie wyszło. Po paru latach wszyscy wiertacze gazu uciekli. 68 odwiertów z negatywnym wynikiem, czyli z zerowym wypływem gazu, pokazało, że łupków ci u nas dostatek, tyle że gazu się w nich nie uświadczy.

Za brak gazu w polskich łupkach Tuska trudno obwiniać. Natomiast za rozbudzanie płonnych nadziei – wręcz przeciwnie.

## Inwestorzy znad Wisły

Celem ogłoszonego 12 października 2012 r. przez premiera Donalda Tuska Programu „Inwestycje Polskie" było „zapewnienie utrzymania w gospodarce obecnej dynamiki inwestycji w projekty infrastrukturalne o wydłużonym horyzoncie czasu, przy jednoczesnym wykorzystaniu długoterminowego finansowania oraz zaangażowania kapitałowego".

Chodziło o to, że państwo postanowiło tak kombinować, by w kraju zaczęły powstawać nie montownie, przepakownie paczek i call centers, ale nowoczesny przemysł. Program miał koncentrować się na tworzeniu warunków dla długoterminowego finansowania rentownych projektów inwestycyjnych.

Kasę na to miał dać rządowy Bank Gospodarstwa Krajowego. Powołano szybko spółkę Polskie Inwestycje Rozwojowe SA. Jej kapitał to 10 mld zł. Drugie tyle miał dorzucić BGK. Potem ze sprzedaży państwowych firm giełdowych takich jak PGE, PKO BP, PZU i Ciech planowano wtopić w przedsięwzięcie kolejne 40 mld zł.

Największym medialnym sukcesem „Inwestycji Polskich" była zmiana prezesa. Mariusza Grendowicza wykopano, mimo że rysował świetlaną przyszłość, bo jego zdaniem transakcje PIR „powinny zaowocować powstaniem do końca 2015 roku strategicznych projektów infrastrukturalnych o łącznej wartości co najmniej 10 miliardów złotych".

Tymczasem w ciągu dwóch lat funkcjonowania PIR podpisano zaledwie dwie umowy inwestycyjne. Pierwsza dotyczyła finansowania inwestycji gdańskiego Lotosu. Druga – remontu kompleksu akademików w Krakowie za 100 mln zł. Gdy więc ktoś usłyszy od Tuska o odejściu od montowni i skoku technologicznym Polski, to niech się nie podnieca.

## Melduję posłusznie

Długą brodę ma i obietnica szybkiego zniesienia obowiązku meldunkowego. Tuż po wygranych przez Platformę w 2007 r. wyborach złożył ją oczywiście ówczesny i jednocześnie dzisiejszy premier.

Coś, co za granicą funkcjonuje w najlepsze, u nas wałkuje się niemal dwie dekady. W tym czasie padało już kilka terminów zerwania z meldunkową upierdliwością. Za każdym jednak razem okazywało się, że nie da rady. Powoływane przez MSW zacne gremia, pobierające za doradzanie równie zacne wynagrodzenia, zawsze miały tę samą śpiewkę. Likwidacja obowiązku zdezorganizuje pracę banków, kancelarii prawnych i komorniczych, a nawet straży granicznej. Nie będzie jak realizować obowiązku szkolnego, rejestrować przedpoborowych, no i, rzecz jasna, przygotować spisów wyborców. Jakby tego było mało, adres zamieszkania jest ponoć niezbędny do wyznaczania obwodów szkolnych czy określania funduszy sołeckich, subwencji dla gmin i tego typu kombinacji.

Ostatnią sztywną datą zniesienia meldunków miał być 1 stycznia 2016 r. Nie był. Oprócz wymienionych wcześniej powodów Międzyresortowy Zespół ds. Przygotowania Administracji Rządowej do Zniesienia Obowiązku Meldunkowego wynalazł bowiem coś, co spowodowało, że wysłanie obowiązku meldunkowego w kosmos było niemożliwe. Rządowi informatycy nie dali sobie rady z programem, w którym widniały nasze dowody osobiste i wszystkie rejestry państwowe. Międzyresortowe grono zarekomendowało zatem, że meldować się należy posłusznie w dalszym ciągu. Szacowano, że tylko przez kolejne dwa lata – bo o tyle doradcy przedłużyli sobie możliwość koszenia publicznych pieniędzy za spotykanie się i wymyślanie następnych rekomendacji udowadniających, że się nie da.

Przyszło PiS, grono pogoniło, a z meldunkami nie zrobiło nic. No, może poza tym, że obowiązek meldunkowy przestał być egzekwowany. Nie ma sankcji, nie trzeba więc mieszkać pod adresem zameldowania. No i broń Boże – wierzyć obietnicom Tuska.

**TOMASZ BOROWIECKI**

dezynfekcyjnym. Indagowani w sprawie solidarnie milczą. Nie potwierdzają ani nie zaprzeczają. W tej sytuacji zalecalibyśmy operacyjne użycie alkoholu. Po pijaku mogą być bardziej rozmowni.

▮ Eksperci z rynku spożywczego w Broniszach pod Warszawą mówią o „załamaniu na rynku pomidorów", które coraz bardziej dotyka producentów. Cena krajowych pomidorów spadła już do 4 zł za kg. Są tańsze niż marchew. Polscy plantatorzy podejrzewają, że pomidory pojawiają się na rynku hurtowym wiadomo skąd, choć nie wiadomo, jak mogłyby stamtąd dotrzeć do Polski. Jak już wszystko będzie jasne, tanimi pomidorami obrzucone zostanie Ministerstwo Rolnictwa oraz siedziba warszawskiej delegatury Komisji Europejskiej.

▮ Ministra klimatu Paulina Hennig-Kloska ogłosiła rozwiązanie problemu, jakiego nikt nie potrafił rozwiązać od stuleci: niedoli koni ciągnących w straszliwych męczarniach fasiągi z turystami z Kuźnic do Morskiego Oka. Po porażce polskiej nauki z AGH w Krakowie, która chciała, ale nie mogła skonstruować za pieniądze dyrektora Tatrzańskiego Parku Narodowego Szymona Ziobrowskiego fasiąga elektrycznego (nieudany projekt kosztował przed laty prawie 1 mln zł), pani minister wymyśliła elektryczny autobus. Autobus nie wyeliminuje wszystkich konwencjonalnych fasiągów ciągnionych przez konie. Tylko te, w których są one najsłabsze. Jeżeli autobus się sprawdzi, za pięć lat, tak jak chcą obrońcy zwierząt, żaden koń nie będzie się już w Tatrach mozolił. Wszystkie pójdą na salami.

Rys. WIDGET

▮ Policja w Koninie ujęła Ukraińca, który włamał się do piwnicy, skąd ukradł rower. Poszkodowanym okazał się również Ukrainiec, który, donosząc o krzywdzie, nie wiedział, że denuncjuje ziomala. Kiedy już się dowiedział, żałował. Jest to przyczynek do rozważań nad reformą prawa karnego w ogóle. Czy państwo polskie powinno wtrącać się w sprawy obywateli państw obcych, którzy popełniają czyny uznawane na naszym terytorium za przestępstwo?! Nie jest przecież wykluczone, że np. na Ukrainie kradzież rowerów jest legalna albo prawie legalna, jak to u nas było swego czasu z samochodami. Zagwozdka dla karnistów.

▮ 63-letni Jerzy W. poniósł śmierć w lutym 2021 roku od wielokrotnych ciosów nożem i tłuczkiem do mięsa we własnym domu w Reszlu. Policja i prokuratura podejrzewały żonę denata, bo nikogo innego nie było w czasie śmierci Jerzego w gospodarstwie. Była też ważna poszlaka. Żona znęcała się nad Jurkiem wcześniej. Było to wiadome miejscowej policji. Sąd Okręgowy w Olsztynie uniewinnił Grażynę W. od zarzutu zabójstwa uznając, że dowody przedstawione przez prokuraturę były nieprzekonywujące. Najwyraźniej więc było to samobójstwo, które Jerzy W. popełnił zupełnie bezkarnie.

▮ W obiektach szpitala dla psychicznie i nerwowo chorych w podwarszawskich Tworkach wybuchł pożar. Do zaprószenia ognia nie przyczyniły się osoby trzecie, jak to początkowo podejrzewano. Zwariowała instalacja elektryczna, mimo że skonstruowano ją zgodnie z przepisami i wdrożono przez wykwalifikowanych elektryków. Iskrząc, doprowadziła do zapłonu. Skoro normalnym ludziom można zwariować, dlaczego odmawiać tego miedzianym drutom pokrytym teflonem?

▮ Jeżeli chodzi o komara, to taki komar ma mózg. A ten mózg – w zasadzie lepiej byłoby powiedzieć: umysł – wykonuje bardzo skomplikowane operacje. Steruje wysokością i prędkością lotu owada, postrzega via oczy, co się dzieje przed, pod i nad. Steruje układem trawiennym i krwionośnym oraz rozmnażania. Wykonuje jeszcze 1000 operacji, których żadna sztuczna inteligencja skonstruowana przez człowieka wykonać nie potrafi. Ba! Sam komar jest urządzeniem tak skomplikowanym, wyrafinowanym i idealnym, że ludzka inżynieria nie jest w stanie zrobić niczego podobnego. Nie piszę o tym, aby dyskredytować zachwycające osiągnięcia człowieczeństwa, ale w obronie komarów, których nikt nie broni. W Szczecinie rozpoczęto odkomarzanie. Holokaustem komarów ma być objętych 110 ha miasta. Będą gazowane techniką zamgławiania na gorąco przez Zakład Usług Komunalnych. Śmierć poniosą dziesiątki milionów osobników.

**RJ**

PS Informacje pochodzą z prasy regionalnej całego kraju. Należy traktować je z ostrożną powagą oraz unikać prawno-cywilnych konkluzji.



eprasa.pl dff6013e1c

# Jedz codziennie jedno jabłko…

## … i lekarza widuj rzadko.

Że nasza służba zdrowia nie działa, dowiedziałem się przez przypadek, ale dzięki Ministerstwu Cyfryzacji, które działa. Najwyraźniej podkłada kolegom z resortu zdrowia świnię.

Moją matkę, starawą już niewiastę, rozbolała noga. W synowskiej trosce, chciałem zapisać ją do ortopedy. I tu się okazało, że ból może być zdiagnozowany już w lutym 2025 r. Termin wydał się odległy. Chciałem zaproponować mamie, by dotknęły ją jakieś inne boleści, powiedzmy żołądka. To był zły pomysł. Dzięki danym cyfrowym okazało się, że gastrolog będzie dla niej dostępny już w marcu przyszłego roku. Penetrując ministerialną bazę ustaliłem, że normalnie chory człowiek może się dostać do neurologa za 213 dni, do laryngologa za 142 dni, do okulisty za 206 dni i podobnie do kardiologa. Urolog mógłby ją przyjąć za 108 dni. Psychiatra – za 246. Najlepiej aby 84-latka zaszła w ciążę. Do ginekologa czeka się średnio w Polsce 46 dni. Jednocześnie z tego samego portalu dowiaduję się z kontekstowej reklamy, że w Lux Medzie prywatnie pan doktor może przyjąć moją mamę już jutro za 330 zł.

Mamy do czynienia oczywiście z parodią opieki zdrowotnej. Piramidalną obłudą środowiska lekarskiego. Odczłowieczeniem medycyny. Czy Ministerstwo Zdrowia widzi jakiś problem w tym podległym sobie cyrku? Nie! Ono nie widzi żadnego problemu. Problem jest rzekomo zupełnie gdzie indziej. Największym zmartwieniem Ministerstwa Zdrowia w roku ubiegłym było to, że 1,3 mln ludzi, którzy zapisali się na wizyty u specjalistów, na owe wizyty się nie stawiło. To jest, kurwa, bardzo dziwne, no nie?! Chory potrzebujący pomocy zapisuje się na wizytę za pół roku, ale idzie prywatnie jutro, więc owego zapisu nie anuluje. Ministerstwo uważa, że zachowuje się poważnie proponując leczenie za dwa lata. To pacjenci są nieodpowiedzialni.

Milion trzysta tysięcy razy uniemożliwiono obywatelom tego państwa skorzystanie z przysługujących im konstytucyjnych praw. Gdzie jest policja?! Gdzie jest rzecznik praw obywatelskich?! Nikt nie widzi w tym niczego niezwyczajnego? No, ale może to rzeczywiście nie jest problem…

Rys. WIDGET

### Hochsztaplerzy i cudacy

Zanim nastąpił wiek XXI, przez 50 tys. lat tak naprawdę ludzie obywali się bez medycyny. XVIII-wieczny lekarz był kimś w rodzaju współczesnego fryzjera z masarską pasją i wdziękiem manikiurzystki, znającego kilka kuglarskich sztuczek chwilowo poprawiających zdrowie i samopoczucie. Postulat Hipokratesa „przede wszystkim nie szkodzić" nie miał wiele wspólnego z ówczesną praktyką. Znaczna część archaicznych zabiegów medycznych – np.: upuszczanie krwi, połykanie kamieni, leczenie kataru heroiną, lobotomia – była szkodliwa. Jeszcze na początku XX w. stosowano transfuzje mleka zamiast krwi, kiłę leczono rtęcią. Radioaktywną, napromieniowaną radem wodą kurowano biegunkę. W najlepszych wypadkach zabiegi były obojętne lub pomagały na zasadzie placebo.

### Maszyna z bilionów części

Jak wiele się od tamtych czasów zmieniło? Aby to zrozumieć, trzeba sobie zwizualizować maszynę zbudowaną z 20 bilionów części w 400 typach, z których każda powstała w oparciu o 100 bilionów jeszcze innych części. Połączone są one w 284 podzespoły. Nie da się.

Z tyluż organów, komórek i atomów składa się organizm każdego z nas, o czym mniej więcej wiemy od 170 lat. Mimo kapitalnego postępu wiedzy we wszystkich dziedzinach biologii i medycyny, działanie ludzkiego organizmu nadal jest rozumiane w co najwyżej kilku procentach. Przy tym nie ma nikogo, którego mózg byłby depozytariuszem całej tej niekompletnej jednak wiedzy. Podzielona została ona na ponad 300 specjalności i subspecjalności, których reprezentanci mają ze sobą nikły kontakt, jak również nie do końca się rozumieją.

O ile uporaliśmy się z problemem, dlaczego klacze rodzą źrebaki, suki szczenięta, a nie np. kocięta, o tyle zasadnicza zagadka życia nie została rozwiązana. Wyjaśnianie, jak działa pojedyncza komórka naszego ciała i jak to się stało, że martwa natura ożyła, nadal natrafia na problemy, które kończą się drapaniem po głowie i mamrotaniem naukowców.

Pobawmy się statystyką finansową, która w sposób najwierniejszy i bliski prawdzie obrazuje zachowanie resortu ochrony zdrowia. Posługuję się przybliżonymi i zaokrąglonymi sensownie wartościami.

### To nie są tanie rzeczy

W tym roku podatnicy wydadzą na przemysł medyczny 190 mld zł. Jakby się zastanowić, na co idą te pieniądze, no to opłacane są nimi stanowiska pracy lekarzy. Ponieważ jest ich 159 tys., wychodzi, że utrzymanie jednego kosztuje 1,2 mln zł. Nie ma takiego obszaru gospodarki, w którym warsztat pracy kosztowałby takie gigantyczne pieniądze. W tej kwocie nie ma kosztów budowy klinik, przychodni i gabinetów. Te są już dawno postawione.

Jest to wartość wydatków na didaskalia, w ogromnej większości pośrednio, a często bardzo luźno związanych z zasadniczą funkcją tego przemysłu, jakim powinno być przywracanie chorym stanu zdrowia. Trzeba to ogrzać, oświetlić, remontować, skanalizować, uzbroić w sprzęt. Potrzebne są karetki i helikoptery. Liczny jest też garnitur służących i lokajów na podorędziu panów doktorów. Ale…. wszystkie te utensylia nie leczą! Tak, w teatrze są kible, ale publiczność nie przychodzi tam, aby je oglądać. Nie do końca tego też oczekują pacjenci.

Jak można by się domagać, ten system mauzoleów służby zdrowia – po których przechadzają się współcześni szamani w białych kitlach z połyskującymi niklem stetoskopami na szyjach, będący nosicielami tajemnej wiedzy i niewiedzy, wynagradzani z nabożną czcią, kwiatami, koniakami i kopertami – powinien jednak służyć, a nie tylko być obsługiwanym.

Jak on służy?

**Dobrym wskaźnikiem jest liczba porad, jakich udziela. Będzie ich w tym roku – podobnie jak w poprzednim – 390 mln. Średnio każda czynność lekarska (może być to tylko wypisanie recepty) to jest porada kosztująca ponad 400 zł. Okazuje się zatem, że w tej prywatnej przychodni, w której ortopeda jest dla mojej matki od ręki, to jest tanio.**

### Parada pomyłek

Jaka jest skuteczność systemu? Co on naprawdę daje? Bardzo trudno to powiedzieć. Jak ktoś słusznie zauważył, błędy lekarzy kryje ziemia. Oficjalnie pomyłek lekarskich jest niewiele, gdyż tak naprawdę pod uwagę brane są tylko te kończące się zgonem lub kalectwem. Ile razy lekarze się mylą w sprawach drobniejszych, są to już wielkości niepoliczalne, choć zapewne każdy zetknął się z takim przypadkiem osobiście, niekoniecznie za pośrednictwem mediów. Już sam fakt że 1,3 mln ludzi nie uzyskało pomocy, kiedy była ona potrzebna, jest lekarskim błędem.

Postęp medycyny jest dużo mniejszy, niż to się wydaje. Przede wszystkim rozwinęły się metody diagnostyczne. To za sprawą inżynierów, a nie lekarzy. Prawie na pewno człowiek może dowiedzieć się, że jest chory i przypuszczalnie 80 proc. usług medycznych ukierunkowanych jest na diagnozowanie, a nie leczenie. To ma naturalnie logiczne uzasadnienie. Bez dobrej diagnozy nie da się wszcząć skutecznej terapii.

Jakby się zapytać dowolnego mistrza w specjalności, jakie gwarancje daje on na swoją robotę, to się dowiecie: „na zdrowie to nikt panu gwarancji nie da". Czytaj: „niczego nie obiecuję". Niestety, bardzo często – w jakichś 360 tys. przypadków rocznie – po pracowicie wykonanych i kosztownych badaniach w gabinetach analitycznych, uczony w leczeniu ma do zaoferowania: „w takich przypadkach medycyna jest bezsilna" (zauważmy piękno tej semantyki: to medycyna jest bezsilna, a nie on) lub że „pacjent nie rokuje" (to pacjent jest zły, a on jest dobry.) Przy czym nawet w sprawach tak ostatecznych zdarzają się pomyłki.

### Nowa ignorancja

Coraz bardziej zinformatyzowana diagnostyka – po której okazuje się, że ogląd pacjenta jest już zbędny – robotyzuje lub wręcz algorytmizuje pracę lekarzy. Jeżeli to, to tamto, jeżeli tamto, to to i tak dalej. Pragmatyka godna mechanika samochodowego, którego przedmiot terapii wyprodukowany został w fabryce i wiadomo o nim niemal wszystko, a nie lekarza mającego ułamkową wiedzę ograniczoną do własnej specjalności w dziedzinie tak bardzo jednak niezbadanej. Można byłoby oczekiwać jednak od terapeutów poza wykształceniem jakiejś pogłębionej refleksji, pracy koncepcyjnej, intuicji, a może nawet – kto wie – czegoś na podobę objawienia.

Obecny medyk posługuje się chemikaliami, które zna z opisu na ulotce, w którą wierzy, bo przecież niczego sam nie sprawdzał. Ulotkę przeczytał lub nie we fragmencie „spektrum działania". Informacja o „skutkach ubocznych" znajduje się dalej i niepotrzebnie gmatwa i tak przecież skomplikowany przypadek chorobowy. Można ją pominąć.

### Prawdziwi bohaterowie

W rzeczywistości długość ludzkiego życia wzrosła dzięki postępowi higieny i wysokiej produkcji dobrej jakości spożywczego białka. Lepszej organizacji pracy i jej mechanizacji.

Jeżeli masz ponad 60 lat, to przeżyłeś dwa życia człowieka z początku XIX w. Tak naprawdę więc nasze zdrowie zawdzięczamy śmieciarzom, szambiarzom, hydraulikom i traktorzystom. Mieszanie do tego lekarzy jest ryzykowne.

Ten malkontencki tekst napisałem jednak w terapeutycznym celu i ku utylitarnym korzyściom. Aby nie pozostawić cię w zupełnej rozpaczy, jeżeli nie możesz dostać się do lekarza. Być może ten bałagan, bylejakość, ignorancja, pycha, chciwość i opieszałość służby zdrowia uratowały ci życie.

Zastanów się, czy szukając uzdrowienia, mając do wyboru współczesną młodą jednak naukę i odwieczną mądrość matki natury, której siłami znaleźliśmy się na tym świecie, nie lepiej postawić na tradycję. Bo być może jest tak, jak ktoś słusznie zauważył: „jeżeli nie uległeś poważnemu wypadkowi, złamaniu lub skaleczeniu, nie chodź do lekarza". W przypadku mojej mamy pomogło. Ból nogi ustąpił bez interwencji ortopedy.

Aha, jest jeszcze jedna dobra wiadomość. Postęp medycyny paliatywnej jest ogromny. Na froncie walki z bólem odnieśliśmy niemal kompletne zwycięstwo. Służba zdrowia oferuje niewątpliwie każdemu spokojną, bezbolesną, a nawet w pewnym stopniu euforyczną śmierć. Nasi protoplaści nie mieli takiego przywileju.

**ROBERT JARUGA**
robert.jaruga@doborowa.com.pl

## KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Gubernator Stanów Zjednoczonych w prowincji nadwiślańskiej Mark Brzeziński obwieścił: „Polska musi być w stanie sama się zasilać, bo Putin chce was zagłodzić energetycznie". A to nie decyzją polskiego rządu nałożono embargo na tanie rosyjskie surowce, które zastąpiono znacznie droższymi darami od naszych amerykańskich przyjaciół?

☆ Płk. Piotr Lewandowski podzielił się z czytelnikami Onetu odkrywczą refleksją: „Na początku Ukraińcy, ale i Zachód zaczął przedstawiać Rosjan jako całkowicie niekompetentnych. Że to orki, mobiki. Ja tych pojęć nigdy nie używałem, uważałem, że one mogą stać się groźne. Dlaczego? Dlatego, że w momencie, kiedy Rosjanie uzyskali przewagę, pojawia się trudne pytanie: jak to możliwe, że tak głupkowaty przeciwnik zaczyna z nami wygrywać?". Niestety, na to trudne pytanie pułkownik nie odpowiedział.

☆ Ukraiński minister rolnictwa Mykoła Solski został oskarżony o nielegalne przejęcie ziemi o wartości 7 mln dol. Sąd wypuścił go z aresztu po zapłaceniu kaucji w wysokości niecałych 2 mln zielonych.

☆ „Musimy wiedzieć, jak w ostatnich latach wygląda rosyjska penetracja naszego polskiego życia publicznego. To ważne dla bezpieczeństwa państwa i dla bezpieczeństwa nas, obywateli. (…) Dlatego powołanie eksperckiej komisji ds. zbadania rosyjskich i białoruskich wpływów uważam za krok bardzo ważny i słuszny" – pisze na łamach „Gazety Wyborczej" Roman Imielski. Jego redakcyjny kolega Bartosz Wieliński dodaje: „Najważniejsza jest mentalna zmiana. Obowiązkiem władzy jest uświadomienie społeczeństwu, że dobre czasy się skończyły. Jeśli mamy żyć w pokoju, czas szykować się na wojnę". Najwyraźniej redaktorzy z Czerskiej wzięli sobie do serca słowa Józefa Stalina, iż „wrogiem ludu jest nie tylko ten, kto szkodzi, ale i ten, kto wątpi w słuszność linii partyjnej".

☆ Cezary Tomczyk w „Super Expressie": „Możemy go nazwać po prostu zdrajcą, bo taka jest prawda: ten pan to jest zdrajca. Zdrajcę dopuścili do najważniejszych tajemnic państwowych i politycznych. To nie jest tylko kwestia jego dostępu do różnych informacji niejawnych, co jest oczywiście bardzo ważnym elementem tej sprawy, ale on był przy najważniejszych osobach w państwie!". Brzmi jak opis Ryszarda Kuklińskiego, ale Tomczykowi chodziło o sędziego Szmydta.

☆ Amerykańska korespondentka „Plusa Minusa" Irena Lasota referuje przekaz propagandowy CIA: „[W Gruzji] chodzi o rusyfikację vs. ukrainizację. Demonstranci – bez wątpienia demokratyczni, pokojowi i wolnościowi – widzą w tym prawie, przyjętym w Federacji Rosyjskiej w 2012 r., a potem zaostrzanym i bezwzględnie stosowanym, kolejny krok Gruzińskiego Marzenia i jego enigmatycznego lidera Bidziny Iwaniszwilego w stronę Rosji oraz rusyfikacji polityki. Rząd już wprost mówi o tym, że wprowadza to prawo, po to by w Gruzji nie nastąpiła ukrainizacja, czyli uzyskanie pełnej niezależności od Rosji i zbliżenie z UE i Europą w ogóle. Ani pełna wolność słowa i pluralizm polityczny". Demonstranci siłą wdzierający się do parlamentu są niezwykle pokojowi, a państwo, w którym nie odbywają się wybory, posłom uniemożliwia się sprawowanie mandatu, obowiązuje cenzura wojenna, a wszystkie stacje telewizyjne nadają jeden program, jest wzorcem z Sevres wolności słowa i pluralizmu politycznego. O takich jak pani Lasota Jan Brzechwa pisał niegdyś: „To mówi Nowy Jork! Słyszycie Głos Ameryki! Głos tej Ameryki, co świat dolarem mierzy, Ameryki giełdziarzy, łgarzy i szalbierzy, Ameryki bezprawia, chamstwa i ucisku, Ameryki gangsterów żądnych krwi i zysku, Ameryki grożącej pałaszem Goliata, Ameryki zbrodniczych podpalaczy świata, Którzy głoszą, że wojna ludzkość uszlachetni".

**MAREK SANOWSKI**
ukraina.tygodniknie@gmail.com



eprasa.pl dff6013e1c

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

# Statyści w sądzie

## Amatorstwo w imieniu Rzeczypospolitej.

Pamiętacie jak Paweł Kukiz usiłował zainstalować w Polsce amatorskich sędziów pokoju i mu się nie udało? Może dlatego, że każdy polityk – nawet ten z PiS – który otarł się o sąd, wie, że byłby to ruch nader niemądry. A to stąd, że amatorów za stołami sędziowskimi nie brakuje.

Wszak artykuł 182. konstytucji już gwarantuje udział obywateli w sprawowaniu wymiaru sprawiedliwości. Taki udział ma służyć realizacji w „orzecznictwie społecznego poczucia sprawiedliwości". Nie tylko, ma również zapobiegać nadmiernej hermetyzacji środowiska sędziowskiego i uchylaniu się przez nie od kontroli społecznej.

### Wyposażenie sali sądowej

Konstytucyjny udział obywateli jest zatem realizowany poprzez społecznego sędziego zwanego ławnikiem. Zwanego tak przez tę część społeczeństwa, która na co dzień nie zajmuje się ferowaniem wyroków w imieniu Rzeczpospolitej i nie nosi na klacie łańcucha z orłem. Dla sędziów, a nawet neo-sędziów, ich społeczni koledzy i koleżanki są po prostu wazonami. Takim samym wyposażeniem sali sądowej jak stół, ławki dla widzów, czy godło za plecami składu sędziowskiego. Bo według opinii zawodowych sędziów, wazony z reguły nie mają o niczym pojęcia. Wazony w związku z tym z reguły się nie odzywają. Wazony po prostu są, bo być muszą.

Ponieważ jednak na decyzje o tym, jak funkcjonują sądy, wpływ mieli prawnicy praktycy, to proces odchodzenia od zasady udziału czynnika społecznego w wymiarze sprawiedliwości rozpoczął się jeszcze przed wejściem w życie obecnej konstytucji. W nowelce Kodeksu postępowania cywilnego z 1996 r. w przeważającej większości spraw cywilnych ławnicy zostali uznani za zbędny balast. W 2007 r. przy okazji kolejnej nowelizacji kodeksów postępowania cywilnego i karnego udział ławników w orzekaniu został ograniczony jeszcze drastyczniej.

Czynnik społeczny został więc wyeliminowany z większości spraw. Zasadą – obowiązującą zarówno w postępowaniu cywilnym, jak i karnym – jest rozpoznawanie spraw w składzie jednoosobowym, czyli jednej osoby sędziowskiej. Poza tym ławnik jest stworzeniem występującym jedynie w pierwszej instancji.

Żeby czynnik społeczny mógł ogarnąć zakres postępowania i nie zasnął, pozostawiono mu przesiadywanie na rozprawach z zakresu prawa pracy. Większość z tych spraw to nudy, ale ławnicy chwalą je sobie, bo czasem trafiają na sprawy o mobbing i inne formy postponowania pracownic, a wtedy jest o czym posłuchać i czasem nawet o coś zapytać. Szczególnie, gdy to coś mieści się w wąsko pojętym zakresie znaczenia słowa seks.

Inną działką, gdzie mogą realizować się wazony, są sprawy związane ze stosunkami (a jakże) rodzinnymi. Rozwody, separacje, ustalenie bezskuteczności uznania ojcostwa, rozwiązanie przysposobienia i tym podobne. To ulubiona działka każdego ławnika. Wysłuchiwanie kto z kim, gdzie i w jakiej pozycji, to dla większości z nich prawdziwa frajda. Nie wspominając już o tym, że niektóre z opowieści rozstających się stadeł powodują opad szczęki ławnika, tudzież ślinotok nasilający się pod wpływem oglądania wykonanych przez prywatnych detektywów fotek.

W sprawach karnych obecność wazonów ograniczono do spraw o zbrodnie. Wtedy na sali występuje sędzia i dwóch ławników. Gdy w grę wchodzi przestępstwo zagrożone karą dożywotniej odsiadki, ławników już jest trzech, zaś profesjonalni sędziowie występują w parze.

Żeby kupić Kukiza, PiS ustawą z 2017 r. o Sądzie Najwyższym wprowadził do tego gremium neo-ławników właśnie. Uczestniczą oni w rozpoznawaniu skarg nadzwyczajnych oraz niektórych spraw dyscyplinarnych. Ławnicy SN mają zapewniony odmienny status niż wazony w sądownictwie powszechnym.

Ich kadencja trwa cztery lata kalendarzowe, a wybiera ich senat. Dlatego dzisiejsi ławnicy SN nie są już neo-ławnikami, bo wybrał ich senat pod marszałkiem Grodzkim. I oczywiście w związku z tym prezes SN z ramienia PiS Małgorzata Manowska, jak mogła, starała się nie dopuścić ich do udziału w rozprawach. Miała rację, bo teraz senaccy ławnicy nie zgadzają się orzekać z pisowskimi neo-sędziami Sądu Najwyższego.

### Sprawiedliwość za 143 złote

Od zawsze, umniejszając rolę ławników, posłowie posługiwali się opinią stwierdzającą, że „systematyczne ograniczanie zakresu spraw, w których orzekają ławnicy jest uzasadnione względami finansowymi oraz niewystarczającymi kwalifikacjami ławników".

Te względy finansowe to kilkadziesiąt milionów złotych wydawanych corocznie na sędziów społecznych. Kilkadziesiąt, bo ławników jest ok. 50 tys., a za jeden dzień pełnienia obowiązków ławnika przysługuje każdemu 143,74 zł i ryczałt na pokrycie kosztów dojazdu do sądu w wysokości 13,61 zł. Tyle że ławnik nie może sądzić więcej niż 12 dni w roku. Poza pieniędzmi za siedzenie na sali, kasa przysługuje im także za uczestnictwo w naradzie nad wyrokiem, sporządzenie uzasadnienia, no i za uczestnictwo w posiedzeniu rady ławniczej, jeżeli został do niej wybrany.

Gdyby zatem przyjąć, że sędzia społeczny wykorzystuje w pełni limit, to może wpisać sobie do PIT-a kwotę 1724,88 zł. Zawodowy sędzia przez ten czas zarobi prawie 200 tys. zł.

Zestawienie tych dwóch liczb mówi coś o tak zwanej niezawisłości sędziowskiej. Ma ona znaczenie, gdy przychodzi do dyskusji o werdykcie. W teorii ławnicy mają takie same prawa jak sędzia zawodowy. Sędzia zawodowy, gdyby miał przytulić kilkanaście tysięcy od bandziora za uniewinnienie, zastanowiłby się kilka razy, bo ryzykowałby dożywotnią posadą z bardzo wysokimi poborami. Czym ryzykowałby emeryt dostający z ZUS 2 tys. zł z haczykiem? Niczym.

Przekupienie ławników to jednak zagrożenie marginalne. O wiele ciekawiej jest spojrzeć na ich rolę z punktu widzenia przewlekłości polskich postępowań sądowych. Wloką się latami, bo...? Bo

**przypisanego do sprawy ławnika można fatygować do sądu tylko wspomniane 12 razy w roku. Czyli raz w miesiącu. A jeśli w sprawie ma zeznawać kilkudziesięciu świadków i tyluż samo biegłych, o oskarżonych, ich obrońcach i prokuratorze nie wspominając, to co? Parę lat jak nic.**

Parę zaś lat w przypadku ławników mocno zaawansowanych wiekiem oznacza kolejne przerwy na choroby, i – rzecz jasna – ponowne rozpatrywania spraw, gdy ławnikowi się zemrze.

### Zawodowe ciało społeczne

Ławnik nie musi mieć żadnych kompetencji. Musi mieć natomiast więcej niż 30, a mniej niż 70 lat, musi gdzieś mieszkać, mieć co najmniej średnie wykształcenie i polskie obywatelstwo oraz zdrowotną zdolność do bycia ławnikiem. Według macherów od prawa tak niewielkie wymagania biorą się stąd, że sędzia społeczny jest odpowiednikiem ławy przysięgłych. Tyle tylko, że to bzdura.

Po pierwsze, ławnika – z wyjątkiem tych z SN – wybiera rada danej gminy, a do konkretnej sprawy przydziela go sąd. Nie zaś prokurator i obrońcy spośród losowo wybranych tylko do tej jednej rozprawy obywateli – jak w przypadku przysięgłych. Ławnicy ciężko pracują podczas procesu, bo to ława przysięgłych – a nie sędzia – wydaje orzeczenie o winie lub niewinności, a w niektórych jurysdykcjach również wyrok. Rolą sędziego w takim systemie jest czuwanie nad przestrzeganiem prawa przez strony i gwarantowanie rzetelnego przebiegu procesu.

U nas rola ławników sprowadza się do siedzenia w ławie. Wybrany na czteroletnią kadencję ławnik umieszczany jest na liście sądu i może ławnikować w tym sądzie do oporu. A to dlatego, że chętnych na tę fuchę z powodu śmiesznych profitów zwykle jest mniej niż wynosi sądowe zapotrzebowanie. Taki sędzia społeczny jest zatem ławnikiem zawodowym, atrapą, a ławnikowanie jest sposobem na walkę z nudą i niewielkie dorobienie do nędznej pensji, emerytury czy renty.

Ławnik zasiadający w składzie sądu powszechnego ma teoretycznie takie same uprawnienia jak sędzia (z tym wyjątkiem, że nie może przewodniczyć rozprawie). Niestety, i w tym przypadku teoria i prawo nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Czy ktoś słyszał o ławniku mającym inną opinię niż sędziowie zawodowi? O kimś, kto głosował podczas narady inaczej niż sędziowie zawodowi? O ławniku, który zgłosił sprzeciw przeciwko bezprawiu na sali sądowej albo zadawał pytania?

Gdyby bowiem ławnik się wychylił, to zawsze można go nie powołać do żadnej sprawy, można go też odwołać, no i rzecz jasna zaopiniować tak, by nigdy więcej już nie został ławnikiem.

W powszechnej opinii ławnik jest emerytem lub rencistą. Ta powszechna opinia ma swoje uzasadnienie w praktyce, bo ławnik jest emerytem bądź rencistą. A to dlatego, że nikomu innemu sędziowanie społeczne po prostu by się nie opłacało.

Prawo co prawda stanowi, że pracodawca zatrudniający ławnika jest obowiązany zwolnić go od pracy na czas wykonywania czynności w sądzie, a za czas zwolnienia od pracy ławnik zachowuje prawo do świadczeń wynikających ze stosunku pracy – z wyjątkiem prawa do wynagrodzenia. Ile osób może sobie pozwolić, by wkurzać pracodawcę nieobecnością i to za niecałe 150 zł dniówki?

A po drugie, żeby załapać się na fuchę dającą rocznie maksymalnie 1700 zł z groszami na rękę, najpierw trzeba zainwestować. Kilkadziesiąt złotych w zaświadczenie o niekaralności, kilkadziesiąt w zaświadczenie o stanie zdrowia, a jak chce się mieć poparcie organizacji pozarządowej w wyborach na ławnika, to jeszcze parę dych za wypis z danymi tej organizacji z KRS. Jak do tego doliczymy koszty dojazdów po kwity i do sądu, to wyjdzie parę stówek.

Właśnie dlatego ławnikiem najczęściej jest przebywający na rencie lub emeryturze znajomy lub krewny obsługi technicznej sądów. Ławnik bez układów może liczyć najwyżej na jedną rozprawę na pół roku.

### Pobudzenie w społeczeństwie

Zupełnym kuriozum w tej hodowli paprotek są rady ławnicze. Są, bo muszą być i ktoś za uczestniczenie w tych gremiach ma brać kasę. Rada ma być przy każdym sądzie i składać się z członków i przewodniczącego wraz z zastępcami. Zadaniem rady jest (uwaga!): „podnoszenie poziomu pracy ławników, ich reprezentowanie oraz pobudzanie działalności wychowawczej ławników w społeczeństwie".

Obsługą administracyjną rad i ławników zajmują się sądy. To rzecz jasna generuje kolejne kilkadziesiąt milionów złotych w skali kraju. I etaty dla rzesz ludzi, którzy w tym czasie mogliby robić coś pożytecznego. Niekoniecznie za publiczne pieniądze.

Oczywiście ławnicy w zakresie orzekania są niezawiśli i – jak sędziowie zawodowi – podlegają tylko konstytucji oraz ustawom. Tyle że sędziowie mają immunitet, a ławnicy jedynie ustawę o funkcjonariuszu publicznym. Znaczy, że jak ktoś ich pobije, to dostanie wyrok parę razy większy niż za łomot spuszczony innemu emerytowi.

Zdawałoby się zatem, że skoro nawet ustawodawca nie traktuje sędziów społecznych poważnie, to nic nie stoi na przeszkodzie, by za kilkanaście miesięcy tę bzdurę przekreślić jednym zamaszystym podpisem nowego prezydenta pod odpowiednią ustawą przenoszącą udział obywateli w sprawowaniu wymiaru sprawiedliwości do jakiejś nowej społecznej działki, funkcjonującej na przykład przy Krajowej Radzie Sądownictwa. W działalności sądów nic to nie zmieni, ale za zaoszczędzone miliony można by pozatrudniać trochę asystentów sądowych, których praca sprawi, że wolne sądy przyśpieszą.

**TADEUSZ JASIŃSKI**

REKLAMA

eprasa.pl dff6013e1c

# WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ 20 maja Sąd Rejonowy w Lublinie uznał, że proboszcz parafii w podlubelskim Snopkowie ks. Mirosław Matuszny znieważył posłankę Lewicy Katarzynę Kotulę. Kiedy w 2020 r. przez Polskę przetoczyła się fala demonstracji w związku z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego de facto zakazującym aborcji, klecha zestawił zdjęcie szczecińskiej posłanki w maseczce z czerwoną błyskawicą z fotografią przedstawiającą Hitlerjugend. Nad zdjęciami widniał napis: „Faszyzm, wczoraj i dziś". Katarzyna Kotula pozwała duchownego. Sąd wycenił zniewagę na 3 tys. zł grzywny oraz 1 tys. zł nawiązki na Fundację Dajemy Dzieciom Siłę. Klesze nie pomogło wsparcie Kai Godek i związanych z nią organizacji pro-life. Ministra ds. równości jest usatysfakcjonowana wyrokiem.

✚ Prezes Urzędu Ochrony Danych Osobowych nałożył karę ponad 10 tys. zł na Kaję Godek i komitet „Stop LGBT". Obrończyni wyskrobków i jej ekipa dali ciała na etapie zbierania podpisów pod homofobiczną ustawą. Komitet „Stop LGBT" o poparcie swojej inicjatywy walczył głównie w parafiach, i jak się okazuje, robił to w sposób niezgodny z przepisami. W jednym z kościołów listy – na których figurowały dane wrażliwe, jak: numer PESEL, imię, nazwisko i adres – leżały na ołtarzach bocznych oraz na stoliku z prasą katolicką pod chórem, były zatem wystawione na niczym nieograniczoną dostępność. Zgodnie z decyzją prezesa UODO, organizatorzy zbiórki nie tylko będą musieli zapłacić 10 913 zł kary, ale i poinformować osoby, których dane nie zostały należycie zabezpieczone, o ryzyku, na które zostały narażone.

✚ Hakerzy zaatakowali facebookowy profil parafii Matki Bożej Niepokalanej – Sanktuarium św. Rity w Nowym Sączu. Zamiast informacji o nabożeństwach i ogłoszeń, na stronie w social mediach zaczęły pojawiać się treści porno. „To jest iście szatański atak, bo przecież mamy Odpust ku czci św. Rity" – wyjaśnił w rozmowie z lokalnymi mediami ksiądz proboszcz Czesław Paszyński. Sprawa organów rozrodczych na parafialnym profilu została zgłoszona organom ścigania.

✚ Ksiądz Rafał K. z bydgoskiej parafii Świętych Polskich Braci Męczenników, który podawał się za seksuologa i pod pozorem terapii doprowadzał swoje ofiary do poddania się tzw. innym czynnościom seksualnym, usłyszał wyrok. O duchownym zrobiło się głośno pod koniec 2021 r., kiedy wyszło na jaw, że podstępem zwabia chłopców do domu parafialnego i tam wykorzystuje ich seksualnie. Jak ustaliła prokuratura, klecha zapraszał nastolatków także na plebanię na egzaminy poprawkowe z religii. Podając się za terapeutę od zaburzeń popędu seksualnego, kazał ofiarom się rozbierać, zdarzało się, że »badał prostatę« i zawiązywał chłopcom oczy opaską. W czerwcu 2022 r. jurny ksiądz usłyszał wyrok trzech lat więzienia oraz nakaz wypłacenia dwóm ofiarom odszkodowań po 10 tys. zł. Prokuratura uznała, że to za mało i domagała się dla niego kary 12 lat pozbawienia wolności oraz dożywotniego zakazu pracy z młodzieżą. Drugi proces samozwańczego seksuologa w koloratce rozpoczął się w maju 2023 r. Finalnie Sąd Rejonowy w Bydgoszczy skazał K. na dziesięć i pół roku pierdla. Ksiądz został także objęty 10-letnim zakazem sprawowania funkcji katechety i wszelkiej działalności związanej z młodzieżą. Przez osiem lat nie może kontaktować się z pokrzywdzonymi ani zbliżać do nich na odległość mniejszą niż 50 metrów. Wyrok jest nieprawomocny. Obrońca księdza zapowiada apelację.

✚ Jak donoszą media, toruński lokal gastronomiczny prowadzony przez należącą do ojca Tadeusza Rydzyka fundację Lux Veritatis bije rekordy popularności w social mediach, dzięki czemu przyciąga rzesze klientów chętnych skosztowania rydzykowej kuchni. Knajpę rozreklamowali kulinarni youtuberzy, zachwalając domową paszę w przystępnej cenie. „Kalafiorowa na bogato. Dużo kalafiora, dobrze doprawiona. Za dyszkę myślę, że to uczciwa cena. Ziemniaczki ugotowane w punkt, dorsz soczysty, a panierka nie była tłusta. Nie ma się do czego przyczepić" – zachwalał posiłek MrKryha, jeden z youtubowych twórców. Za dwudaniowy obiad zapłacił 34 zł. Jak widać, ojciec Tadeusz nie tylko strzyże owieczki, ale i pasie barany.

**KLECHA**

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

## Nowa ewangelizacja od tyłu.

# Pokaż diabłu dupę

JP2 w encyklice „Veritatis Splendor" podkreślał konieczność głoszenia Ewangelii „z nową gorliwością, nowymi metodami i z zastosowaniem nowych środków wyrazu". Słowa te musiały dotrzeć także do Gdańska, kolebki „Solidarności" i nabrały wymiaru ekumenicznego, czego dowodem jest działalność niejakiego Tomasza Drożały z grupy chrześcijańskiej Ogień Przebudzenia, a konkretnie – „Potęgi Nieba" Kościoła Chrześcijan Pełnej Ewangelii.

Jak mawia się dziś w sieci, internet zapłonął, gdy na YouTubie Drożała, wyglądający jak trener personalny (duży, łysy, napakowany, swobodnie ubrany) umieścił filmik ze swojego spotkania z wiernymi, zatytułowany „Pokaż diabłu dupę! Diable, wąchaj zada!". Nie jest to szczególnie wysublimowana metafora, tym bardziej, że na wideo widzimy, jak boży szaleniec zachęca głównie młode dziewczyny do odwrócenia się do kamery i pokazywania tyłków. Co mi dziwnie przypomina hedonistyczne kapele satanistyczne zachęcające laski, by wypinały pośladki w ich stronę.

I tylko mamy nadzieję, że nikt z tego filmiku nie wywnioskuje, że chrześcijaństwo jest do dupy. Rzecz jasna, paker i samozwańczy apostoł nie robi tego – broń cię, Panie Boże! – by szokować znudzoną gawiedź, lecz jego cele są wzniosłe, a uzasadnienia jednoznacznie biblijne.

## Walka z demonami

W opisie wideo do „Pokaż diabłu dupę" czytamy, że „wielu ludzi nie rozumie mechaniki duchowej. Z diabła robi się niezniszczalnego lorda, który aby był pokonany, musi pojawić się co najmniej kilku herosów. Widać to w filmach o super bohaterach, a co dopiero w filmach o egzorcyzmach. Dlaczego? Bo to siły demoniczne tworzą te filmy".

Sprawa jest jasna: „Okłamano nas. Pokazano nam wielkiego diabła, a małego Jezusa, ale prawda jest odwrotna i zamiast bać się życia i diabła należy wyśmiać wroga z jego pseudo problemami. Tak jak mały Dawid przywalił wielkiemu Goliatowi z procy, tak i człowiek Boży zamiast bać się życia powinien szydzić z problemów. Diabeł to cała struktura problemów życiowych i zasadzek".

Tu pojawiają się cytaty z Ewangelii, w których Jezus wypędzał demony jeszcze szybciej niż bachor myje zęby, a gdy demony przychodziły do niego i pytały, co robić, odpowiadał im krótko: „większe rzeczy będziecie czynić ode mnie, bo ja idę do Ojca". Jako dzieci Boże śmiejemy się zatem z wroga i naigrywamy z jego planów. W końcu „to metoda na diabła i problemy życiowe, wyśmiewaj zamiast skomleć!".

Inny filmik Drożały na YouTubie namawia z kolei: „Nie bój się diabła, ale walnij mu w mordę". Jak patrzę na chłopa, to nawet nie będąc diablicą, nie chciałabym od niego dostać po buzi, bo to pachnie wstrząśnieniem mózgu. Tym bardziej, że spotkanie chrześcijan odbywa się w takt skocznej muzyki, a samozwańczy apostoł toczy walkę z cieniem, znaną z treningów bokserskich. Może czeka go przyszłość we freak-fightach, gdzie da sobie po razie z jakimś ateistą lub satanistą? Tantiemy za ten pomysł proszę przesłać na konto redakcji „NIE", a przynajmniej chciałabym choć hasło do darmowej subskrypcji tej ewangelizacyjnej gali…

Uważam, że starcie w klatce chrześcijanina z jego wrogiem będzie walką stulecia, a może nawet tysiąclecia. Będzie to największe wydarzenie od czasu zmagań Diabła z Jezusem w obrazoburczym serialu animowanym dla dorosłych „South Park". Rogaty wyglądał lepiej jak Pudzian, Chrystus chudy, i jak nomen omen, z krzyża zdjęty, więc mieszkańcy zgodnie postawili na Diabła, który – ku zaskoczeniu wszystkich – przegrał. I zapewne nie miało to nic wspólnego z faktem, że jedynym, który postawił grubą kasę na Jezusa, był sam Diabeł…

Kto jednak bacznie obserwuje polski katolicyzm, ten z cyrku, jakim jest pokazywanie diabłu dupy, się nie śmieje.

## Duchu, przybywaj

Polski Kościół lubi – choć to raczej pusta, choć znacząca poza – przedstawiać się jako samotna wyspa szczęśliwości, oaza pobożności prowadzona przez cudownych duszpasterzy natchnionych słowami świętego JP2, gdzie wierny lud zapatrzony jest w proboszcza jak nastolatek w gwiazdy porno. A tymczasem w epoce globalizacji, oplatającej świat komunikacji internetowej i lotniczej, katolicyzm w Polsce przechodzi drastyczne i błyskawiczne zmiany, które zwą się przydługo uzielonoświątkowieniem, czy pentekostalizacją.

Warto poświęcić temu procesowi nieco uwagi, gdyż wzbudza on w samym Kościele (i wśród innych chrześcijan) gorącą dyskusję, w której mamy do czynienia z nieoczywistymi stanowiskami duchownych katolickich i nie tylko.

W 2018 r. Konferencja Episkopatu Polski w liście do biskupów stwierdziła: „Każdy pilny obserwator współczesnego chrześcijaństwa odkryje rzucający się w oczy znak czasu: wszędzie dostrzegamy wzmagającą się świadomość Kościoła jako dzieła Ducha Świętego. (…) Widzimy powszechne pragnienie rekolekcji i pobożnych tekstów temu poświęconych, dostrzegamy, jak poszukiwani są księża mówiący o dziełach Ducha Świętego, a jeszcze bardziej duszpasterze umiejący wprowadzać w krąg doświadczenia Jego mocy".

Ks. prof. Szymon Kobyliński to najbardziej znany rodzimy tępiciel pentekostalizacji, który przenika Kościół. W tekście naukowym z zeszłego roku pisał o synkretyzmie wspólnot zielonoświątkowych włączających elementy wierzeń tradycyjnych z Afryki, Azji i Ameryki Południowej. Krytykuje on „dyskusyjne sposoby uwalniania ludzi od złych duchów, często praktykowane egzorcyzmy, głoszenie pandemonicznej wizji świata, magiczne rozumienie obrzędów religijnych, hipnozę magnetyczną, spoczynki w duchu, wprowadzanie ludzi w odmienne stany świadomości itp.".

Najbardziej jednak ks. Kobyliński – całkiem zresztą słusznie – flekuje pentekostalną Ewangelię Sukcesu: przekonania, że wiara prowadzi do zdrowia, bogactwa i dobrobytu, a jej brak skutkuje chorobą, biedą i nieszczęściem. To już teraz rozumiemy wielu wierzących za poprzedniego reżimu w Prezesa – im faktycznie to przyniosło bogactwo i dobrobyt! A zatem pisowcy to nie prawowierni katolicy, lecz ukryci zielonoświątkowcy!

Na marginesie, wśród narodowców w Polsce jest niszowa, ale zyskująca na popularności moda na chrześcijaństwo protestanckie. Ikoną jest dla nich lubelski pastor Kościoła Nowego Przymierza Paweł Chojecki, którego kazań regularnie w sieci słucha kilka tysięcy ludzi. Na swojej stronie chwali się on, że jest zaangażowany w zakładanie kościołów i „nadzoruje powstawanie ponad 20 kościołów-córek w Polsce i wśród Polonii za granicą". Chojecki zasłynął krytyką dogmatów kościelnych i Dudy, za co został skazany na prace społeczne, które złośliwie nazwał „robotami przymusowymi".

## I kamieni kupa

Hierarchowie, jakże słodziutko zaperzający się w takich sprawach, jak kto z kim dobrowolnie, a nawet z chęcią się rucha, rzucający gromami w sprawach typu pigułka „dzień po", w sprawie tak fundamentalnej jak uzielonoświątkowienie ich własnego Kościoła i wyznawców zachowują się w sposób niejednoznaczny, złożony, pełen uników, a chwilami z przerażeniem w oczach. I podchodzą do sprawy jak zimni pragmatycy: czasy się zmieniają, uzdrowienia to część tradycji, byle słuchać biskupów i papieża, nadużycia się zdarzają. Dziwnie to przypomina hasło z czasów komuny: socjalizm – tak, wypaczenia – nie.

Weźmy taką prężną organizację, jak Katolicka Odnowa w Duchu Świętym. Okazało się, że w niektórych krajach, jak we Francji chociażby, dochodziło do wstrząsających skandali. Nie jest przypadkiem, że trzy lata temu konieczny był list do Kościoła i wiernych, w którym miłośnicy i miłośniczki Ducha Świętego zapewniali o swej prawowierności, słuchaniu papieża, ale jednocześnie prosili „o otwartość na głos Ducha Świętego mówiącego dziś przez wspólnoty do Kościoła".

Przykładem natchnionego lidera był dominikanin Paweł M. – charyzmatyczny guru zafascynowany egzorcyzmami i wciąż mówiący o konieczności nawrócenia. Przyciągał tłumy młodych, zwłaszcza kobiet. Spuszczał dziewczynom wpierdol, bo miało to mieć charakter oczyszczający z grzechów.

Jak ujawniła jedna z ofiar seksualnego drapieżnika i przemocowca (cytuję za „Wyborczą"), której inicjacja seksualna była gwałtem ze strony zakonnika: „On wybiegł za mną, włożył nogę między drzwi i zgwałcił mnie jeszcze raz. Powiedział, że tak musi być, że jest Bożym wysłannikiem, i że wie, że to może przerażać i boleć, ale Bóg chce tego ode mnie, i on musi to robić, a jeśli ja się nie zgodzę, nie będę wykonywać jego poleceń, sprzeciwię się woli Bożej i moja koleżanka zginie, a my nie wrócimy. A jeśli się wyda, to dzieło Boże się rozpadnie. Za każdym razem robił mi to siłą. Podczas modlitwy w kaplicy św. Józefa ciągnął mnie za włosy, wykręcał ręce i zgwałcił na ołtarzu".

**A zatem charyzmatyczni kaznodzieje w naszym kraju albo pokazują tyłek, albo wsadzają kutasa tam, gdzie nie powinni. Wydaje się zatem zasadne – że zacytuję klasyka – że chrześcijaństwo w Polsce to chuj, dupa i kamieni kupa…**

**ZUZ**

Rys. WIDGET



eprasa.pl dff6013e1c

## Katolicki wychowawca rapera.

# Baty taty Maty

Profesor Marcin Matczak, ojciec rapera i piosenkarza Maty, popełnił w „Gazecie Wyborczej" felieton traktujący o wyższości wychowania religijnego nad ateistycznym, czym zasugerował, że Polskę pełną młodocianych ateuszy czeka moralny nihilizm. Mogę zrozumieć, że są ludzie potrzebujący Kościoła dla podtrzymania przy życiu ich lęków i nadania im sensu. Jednak z tą refleksją moralną u katolików bym nie przesadzała. „Czy wychowanie ateistyczne ma jakiś odpowiednik? Czy gdy wraz z kompromitacją Kościoła odrzucamy wszystkie elementy wychowywania religijnego, nie wylewamy dziecka z kąpielą?" – pyta Matczak.

### Prolog

„Postępowi ludzie ufają, że potrafimy wybrać właściwą drogę w przestrzeni »wolności od«. Konserwatyści wiedzą, że to nie takie proste – nie da się po prostu »być sobą«, po prostu »żyć fajnie«. Nie dojdzie się daleko, gdy będzie się podążać za swoimi emocjami. To dystynkcja oburzająco zgrubna, ale rozróżnijmy wychowanie »religijne« i »ateistyczne«. Pierwsze opiera się na założeniu ideału i nadrzędnego porządku moralnego. Drugie zakłada, że takiego ideału nie ma i że każdy człowiek jest sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Widzę kilka przewag wychowania »religijnego« nad »ateistycznym«" – strzelił wynurzeniem Matczak z finezją psa, któremu Pawłow zadzwonił brzęczykiem. Chyba tylko po to, żeby zrobić dobrze tym, którym Bóg wypełnia poczucie egzystencjalnej pustki, bo im dalej brnęłam w tekst, tym mniej znajdowałam matczakowych wariantów strategii na obronę tej tezy.

### Spuszczanie z krzyża

Ciężko stwierdzić, skąd profesor Matczak czerpie swoją wiedzę o wychowaniu ateistycznym, bo zakładam, że sam takiego nie odebrał. Zdaje się również, że nie istnieje kodeks norm, które regulowałyby życie bez wiary, czy punktowały wytyczne kształtowania nowych pokoleń niewierzących. W niczym nie przeszkodziło to profesorowi prawa wyrysować swoimi wynurzeniami koślawego schematu: ateiści wychowują dzieci na samolubnych indywidualistów, którzy pozbawieni autorytetów nie przykładają się w życiu do refleksji nad własną moralnością. Formuła tresowania w katolickiej tradycji okrucieństwa, obłudy i manipulacji jest zatem według Matczaka gwarantem jeśli nie cnotliwości to przynajmniej przyzwoitości, co z punktu widzenia zdrowego rozsądku – żeby nie iść już w banał licznych przykładów – jest zwyczajnie paradne.

Wbrew logice uważa jednak Matczak, że lepiej uderzyć pałą o jeden raz za dużo niż za mało i snuje dalej: „To ryzykowne, przyrównywać wychowanie »religijne« do odwyku, ale zaryzykuję. Konserwatyzm zakłada, że człowiek jest w jakimś sensie uzależniony od zła, tak jak ktoś może być uzależniony od alkoholu. Za tym uzależnieniem stoją nasze instynkty, których bez pomocy silnego superego nie powstrzymamy. A uzależnienie od zła i alkoholu zwalcza się podobnie". I wymienia: wsparcie wspólnoty, przewodnictwo autorytetu, studiowanie postaw moralnych i czujność moralną. „Pierwszej wartości wychowanie »ateistyczne« przeciwstawia indywidualizm, drugą nazywa paternalizmem, trzecią oskarża o »straszenie grzechem«, a czwartą znosi, tracąc szacunek do rytuałów".

Gwoli ścisłości dodam, że program 12 kroków, na którym bazuje autor, nie jest leczeniem alkoholizmu, a rozwojem duchowym. Terapia uzależnień bazuje na psychologicznym nurcie poznawczo-behawioralnym, który, nie ukrywajmy, w przeciwieństwie do religii opiera się na racjonalizmie.

Nie ma nic bardziej katolickiego niż narzucanie optyki sparciałego paradygmatu narodzin w grzechu (bo przecież właśnie stąd wypełza frazes o uzależnieniu od zła). Nie zadał sobie jednak Matczak trudu, żeby wyściubić nos poza schemat utarty przez watykańskich emisariuszy i pochylić się głębiej w filozofowaniu, chociażby nad ideą wolnomyślicielstwa – wcale mnie to nie dziwi, od schylania łupie w krzyżu, a ten jest nader delikatny u osobników z kręgosłupem moralnym wspartym o dekalog.

### Uprawa kato

Domyślam się, że hodowanie dzieci na metodologii grzechu i pokuty w systemie kar i nagród od Wszechmogącego, może dawać wierzącym złudne poczucie stadnego bezpieczeństwa. Jest też źródłem ogromnego lęku. Pierre Solignac nazywał to „nerwicami chrześcijańskimi" („The Christian Neurosis", 1982) i winił za nie tradycyjne nauczanie chrześcijańskie. Paul DeBlassie III pisał o „nerwicach religijnych" wywoływanych przez toksyczne chrześcijaństwo charakteryzujące się legalizmem i sztywnym zinstytucjonalizowaniem. Przykra sprawa.

**Niewierzący mają szczęście, bo nie muszą przeciwstawiać kontrargumentów religijnym normom. Ateiści w dupie mają bogów i wszystko, co z nimi związane, nie walczą z niewidzialnym przeciwnikiem, bo po prostu nie wierzą. Dogmatyzm to intelektualna łatwizna.**

Sztuka wykształcenia etycznych zachowań polega na zastanawianiu się nad własnymi postawami i ich konsekwencjami – nie na przyjęciu narzuconych, zatęchłych procedur. Wiara w bóstwo ogranicza świat do czerni i bieli, wolnomyślicielstwo – w tym ateizm – uczy niuansu półcieni.

„Boli mnie polska polaryzacja, a jeden z najważniejszych podziałów to ten między wierzącymi i niewierzącymi. (…) Dla wspólnej przyszłości Polski trzeba zrozumieć, jak myśli strona konserwatywna, czego się obawia. Bo jeśli czegoś nie rozumiemy, lekceważymy to, albo nawet tym pogardzamy. A to radykalizuje konserwatystów i zagraża wspólnej przyszłości" – zamartwia się Matczak, merdając kijem w mrowisku i dając świadectwo temu, że strona konserwatywna nie myśli zbyt wartko.

Bez złośliwości zapytam retorycznie na koniec, czy syn Marcina Matczaka, raper Mata, to rezultat religijnego wychowania Tatymaty? „Wydaję kafel na Durexa, Roksę i bakę / Zdejmujesz górę, no a potem trousers i gacie / Lubię jak się rozbieracie / Wsiadaj na mnie jak na skuter / Jak tylko odpalę, to ruszę / Muszę założyć wszystkim moim groupies w końcu jakąś grupę" – rapuje Mata w utworze „Faka".

Profesor Marcin Matczak prowadzi profil na portalu Patronite, na którym można finansowo wspierać twórców. Pisze tam o sobie: „Co tydzień we wtorki piszę felietony dla Gazety Wyborczej, a w środy nagrywam Niepoprawnik dla Kanału Zero. Robię to, bo uważam, że największym zagrożeniem dla ludzkości są skrajności. Dlatego je zwalczam – słowem, nie ogniem i mieczem". Ubawiło mnie to bardziej niż teksty Maty.

**IDALIA DUBICKA**

Ilust. PAWEŁ FERENC

PLURALIS MAIESTATIS

# 66,6

Według najnowszych badań UCE Research 66,6 proc. Polaków ma symptomy depresji. 66,6 i już wszystko wiadomo!

Fajnie by było, gdyby 66,6 proc. Polaków zauważyło, że to, co często bierze za objaw depresji, jest niczym innym jak refluksem po przeżarciu się kapitalizmem. Co zrobić? Wbić zęby w ścianę! A jeśli ściana na raty? Wbić i modlić się, modlić! Do kogo? Do Mamona? Do Marksa? Do Seltzera?

„Myślę, że nic tak nie uczy pokory i nie oddala pychy, jak depresja. Nic lepiej niż depresja nie uczy radykalnego ubóstwa. To choroba, która obnaża ze wszystkiego, sprawia, że doświadczasz ekstremalnej kruchości ludzkiej kondycji" – zapisała w autobiografii „Z depresji do wiary" włoska pisarka oraz dziennikarka Milly Gualteroni. I dodała: „Gdy miałam 20 lat i uważałam się za agnostyczkę, sądziłam, że jedynym sposobem na konfrontację z otchłanią depresji są psychotropy. Potem odkryłam, że jesteśmy czymś więcej niż tylko mózgiem, na który składają się synapsy i zacinające się mechanizmy". Och, zgadzam się! Jesteśmy jeszcze żołądkiem, PESELEM i kartą kredytową. Wszystko to stanowi w kapitalizmie wartość ujemną. „Ekstremalną kruchość ludzkiej kondycji" zna każdy kloszard i głodujący dziadek, ten, któremu nie starcza na leki, czynsz, ratę… Módlmy się! Póki jeszcze można darmo.

Módlmy się do świętej Gertrudy z Nivelles, patronki chorych na depresję. Całkiem normalna święta to była. Żadnych wyłupionych oczu, picia ropy, lewitacji. Ot, żyjąca w VII wieku ksieni benedyktyńskiego klasztoru w rzeczonym Nivelles. Klasztor ufundowała jej matka Iduberga, kiedy okazało się, że córce do zamążpójścia się nie śpieszy. Ostatecznie żyły sobie tam: panna, wdowa, koty… Dlaczego Gertruda została świętą? Hmmm, w sumie to nikt nie wie. Przedstawia się ją z myszą polną, których plagę ponoć potrafi zwalczać. W późniejszych wiekach Gertruda została również opiekunką kotów – kiedy te przestały kojarzyć się z diabłem, a zaczęły, cóż, z wariatami… Dodajmy, że koty i słonie chorują na depresję w identyczny sposób jak ludzie. A leki psychotropowe zawdzięczamy wiwisekcjom na kociątkach.

„Współczesny świat nie akceptuje cierpienia, nie przyjmuje tego, że cierpienie, podobnie jak życie, jest święte. Doświadczyłam tego, że ból przygważdża nas w teraźniejszości, natomiast ból, z którym jesteśmy pogodzeni, jeśli zaufamy Bogu, przenosi nas do wieczności" – twierdzi Gualteroni. Cóż, jeśli nie chcemy w tej wieczności zadomowić się za szybko i wypiąć na trud laboratoryjnych kotów, łykajmy psychotropy (których branie Włoszka odradza). A jeśli Gertruda z Nivelles wydaje wam się zbyt nudna, a nie możecie zrezygnować z rat za mieszkanie ani z innych tzw. uciech, módlcie się do Patronki Większego Wariata czyli świętej Dymfny. Otóż ta irlandzka księżniczka musiała wiać przed seksualnymi zakusami swojego ojca, króla, po tym jak ten owdowiawszy odkrył, iż córka jest uderzająco podobna do martwej królowej. A nawet uznał w swej szaleńczej ślepocie, że córka jest jego żoną żywą. Pamiętacie bajkę o Oślej Skórce? Ona i wszystkie grimowskie historie o gwałconych przez napalonych tatuśków ślicznotkach mają początek w tej hagiografii. Cud-miód! Wzgardzony ojciec (lub wzgardzony ojciec-gwałciciel) wysłał w ślad za niepokorną córką zabójców. Księżniczka została zgładzona w Geel (dzisiejsza Belgia) – a miało to miejsce również w VII wieku… Przy kościele, gdzie pochowano dziewczynę, założono przytułek dla ubogich, a dalej – szpital dla obłąkanych. Bo cuda tutaj się działy albo po to, żeby cuda zaczęły się dziać… I dzieją się do dzisiaj, choć w bardzo świeckim sensie. W Geel nieprzerwanie od średniowiecza funkcjonuje flamandzka wspólnota opiekująca się ludźmi wyczerpanymi i chorymi psychicznie. Tutaj nigdy nie pomyślano, że ktoś w depresji został opętany przez diabła czy celowo pozbawiony bożej życzliwości. Nigdy o kimś pozbawionym rozeznania zmysłów nie powiedziano, że jest obcym, innym – do utylizacji. Geel to nowożytna kolebka psychiatrii, a przede wszystkim – troskliwej opieki psychiatrycznej. Nawet jeśli dawno, dawno temu każdego z gości narzekającego na ból duszy czekał dziewięciodniowy post, pokuta i no… „daj na tacę!", „Kolonia Geel" trwa, a w 1902 r. Międzynarodowy Kongres Psychiatrii uhonorował „model geelski", uznając go za wzór do naśladowania na całym świecie. W 2002 r. potwierdziło to WHO. Ładne, tyle że nierealne. W Geel „gości" czyli dawnych pacjentów uspokaja to, że nie przebywają w szpitalu, tylko w wybranej dla ich rodzinie. Są akceptowani, nikt się nad nimi nie lituje, ani ich nie gnoi. Są pod opieką, nie wylądują na bruku, a jeśli załapią się do programu, to mogą mieć zagwarantowane dożywocie w ciszy i spokoju. Najdłuższy stażem „gość" jest w „Rodzinie Geel" pół wieku... I nie chodzi tutaj o pieniądze, bo rodziny dostają za opiekę około 2 euro dziennie. To o co? Cóż, może nie tylko o komunię. Może przede wszystkim o KOMUNĘ.

„Połowa Geel to wariaci, a reszta to pół-wariaci" – mówi się powszechnie o tamtejszych Flamandach. W 2022 r. Flandria złożyła wniosek do UNESCO – „o uznanie geelskiej opieki rodzinnej za kulturowe dziedzictwo niematerialne". Dobra, modlę się: komuno dobrych ludzi wróć! I łykam inhibitor wychwytu zwrotnego serotoniny Lexapro 10 mg, raz dziennie.

**IZABELA SZOLC**

Rys. OBYWATEL JANEK



eprasa.pl dff6013e1c

**Obywatele pogrążonej w kryzysie Wielkiej Brytanii 4 lipca wybiorą lewicę. Gówno im to da.**

# Głodny jak Anglik

Brytyjski premier Rishi Sunak ogłosił, że wybory, w których straci władzę, odbędą się 4 lipca – choć teoretycznie mógł sobie jeszcze porządzić do końca stycznia. Ogłosił to stojąc w deszczu bez parasola, w ociekającej wodą marynarce, zagłuszany piosenką „Things Will Only Get Better" („Będzie tylko lepiej"), która była przebojem wyborczym Labour Party w zwycięskim 1997 r.

## Żałość torysów

Piosenkę puszczał z potężnego głośnika Steve Bray – znany działacz antybrexitowy, który, jak sam mówi, specjalizuje się w trollowaniu polityków. „Nie zrobiłem tego dla Partii Pracy. Zrobiłem to, ponieważ jest to najlepsza piosenka trollingowa dla konserwatystów" – wyjaśnił „Guardianowi" Bray. Nie da się ukryć, że osiągnął swój cel: multimilioner na czele brytyjskiego rządu wyglądał tak żałośnie, że prawie można było mu współczuć. Przez kilka następnych dni ten żałosny wizerunek tylko się pogłębiał: kolejne wpadki na kampanijnym szlaku ukoronowało spotkanie w Belfaście, na osiedlu noszącym dumne miano „Titanic" (w miejscu stoczni, w której zbudowano Titanica), gdzie zapytano go nie bez racji, jak się czuje jako kapitan tonącego statku. W sobotę Sunak ogłosił, że ma dość i bierze sobie wolne – co jest dość nietypowym działaniem, jak na początek sześciotygodniowej kampanii walczącego o reelekcję premiera.

Jest to o tyle bez znaczenia, że nikt nie wierzy, iż torysi mogą utrzymać władzę – a najmniej oni sami. 120 konserwatywnych posłów już zapowiedziało, że nie będzie ubiegać się o reelekcję – wśród nich była premier Theresa May, minister wielu resortów Michael Gove, była przewodnicząca Izby Gmin Andrea Leadsom. Ten exodus zdaje się uzasadniony: notowania torysów szorują po dnie, zaś brytyjska ordynacja, oparta na jednomandatowych okręgach, nie daje nagród pocieszenia.

Nie bierze się to tylko ze zmęczenia władzą sprawowaną przez konserwatystów bez przerwy od 2010 r. Po brexicie, covidzie, wojennym kryzysie energetycznym Wielka Brytania stała się krajem biedy. Ponad 11 mln Brytyjczyków stale lub od czasu do czasu nie ma na jedzenie. 6 mln korzysta z banków żywności, ale co trzeci z nich musi odsyłać ludzi z kwitkiem, bo jedzenia ma za mało. 3 mln gospodarstw domowych nie stać na ogrzewanie. Co czwarty nauczyciel – pokazał sondaż z udziałem 9 tys. pracowników oświaty – przynosi do szkoły wałówkę, żeby karmić głodnych uczniów. Słowem: jest źle.

Na to wszystko odpowiedzią powinna być, oczywiście, lewica. I sondaże pokazują, że tak właśnie jest: przewaga laburzystów systematycznie przekracza 20 punktów procentowych i rośnie. Niestety, Keir Starmer i jego Labour Party to lewica bardzo kiepskiej próby.

## Marność laburzystów

Kiedy Starmer – były dyrektor Oskarżeń Publicznych (coś jakby zastępca prokuratora generalnego), uhonorowany przez królową tytułem szlacheckim – walczył o schedę po Jeremym Corbynie, prezentował się jako kandydat twardej lewicy. Nie aż tak twardej, jak Corbyn naturalnie – ale zdeterminowanej w walce o prawa pracownicze, renacjonalizację i odbudowę usług społecznych, wyrównywanie nierówności. Wszystkie te deklaracje, jedna po drugiej, lądowały w śmieciach.

**Dziś Labour Party w zasadzie nie różni się od partii z czasów Tony'ego Blaira: autorytarnie zarządzanej, chodzącej do łóżka z biznesem kliki hipokrytów, wrogiej wszystkim lewicowym wartościom i zasadom.**

Labour Party obiecała cofnąć brutalne cięcia w pomocy społecznej, w tym we wsparciu dla rodzin z dziećmi. Teraz okazuje się, że odbieranie ludziom zasiłków jest słuszne, bo motywuje nierobów do pracy. Laburzyści zrezygnowali też ze zniesienia czesnego w publicznych uniwersytetach, podwyższenia podatków dla 5 proc. najlepiej zarabiających, renacjonalizacji poczty, sieci energetycznych i wodnych, sprywatyzowanych i doprowadzonych do ruiny przez rabunkową gospodarkę nowych właścicieli. Była także mowa o zlikwidowaniu przywilejów podatkowych drogich prywatnych szkół; uzyskane w ten sposób 1,7 mld funtów miało być przeznaczone na dofinansowanie szkół publicznych. Tu też zaszła zmiana: odebranie wylęgarni brytyjskiej klasy uprzywilejowanej statusu organizacji charytatywnych nie jest potrzebne.

I wreszcie jest kwestia upadającej publicznej służby zdrowia. Zamiast obiecanych inwestycji w NHS, Partia Pracy deklaruje podtrzymanie torysowskich rozwiązań, polegających na przepompowywaniu pieniędzy do przychodzi i szpitali prywatnych, nastawionych na zysk. W żaden sposób nie zmniejsza to kolejek w państwowej służbie zdrowia: placówki prywatne podkupują wyszkolony na koszt państwa personel medyczny z NHS, tyle tylko, że na jego pracy zarabiają teraz prywatni właściciele. Co więcej, w 2018 r. specjalna rządowa komisja stwierdziła, że 40 proc. prywatnych szpitali nie spełnia ustawowych standardów. Teraz okazuje się, że outsourcing i prywatyzacja opieki zdrowotnej jest jednak w interesie pacjentów. Warto w tym miejscu nadmienić, że Wes Streeting, minister zdrowia w gabinecie cieni Starmera, przyjął 175 tys. funtów „na koszty prowadzenia biura" (taka formuła jest legalna w UK) od dwóch sponsorów, powiązanych z prywatną służbą zdrowia: Petera Hearna, kontrolującego OPD Group Ltd, która zajmuje się rekrutacją personelu medycznego dla prywatnych firm oraz Johna Armitage'a, zarządzającego funduszem hedgingowym, który zainwestował pół miliarda dolków w UnitedHealth: największego prywatnego ubezpieczyciela zdrowotnego na świecie.

## Grzech Corbyna

Dziś nie ma wątpliwości, że wszystkie lewicowe deklaracje składane przez Keira Starmera w walce o przywództwo Labour Party w 2019 r., miały służyć wyłącznie oszukaniu zwolenników poprzednika. Corbyn wprawdzie zrezygnował z kierowania partią po przegranej wyborczej, ale jego wizja nadal cieszyła się poparciem większości członków.

Ten problem Starmer już zresztą rozwiązał, konsekwentnie eliminując wszystkich, których podejrzewał o podzielanie tej wizji. Poczynając od samego Corbyna.

Jeremy Corbyn przez całe swe polityczne życie był wierny sprawie palestyńskiej. Dopóki był szeregowym posłem, jeszcze mu to jakoś uchodziło płazem, ale kiedy w 2015 r. został liderem Labour Party wybranym przez masy członkowskie wbrew partyjnej elicie – nagle okazało się, że jest antysemitą. Przypieczętował tę opinię, upierając się, żeby w kodeksie etycznym Labour Party zapisać, że krytykowanie polityki Izraela i obrona praw Palestyńczyków nie jest antysemityzmem. Labourzystowska posłanka nazwała z tej okazji swego szefa „antysemickim rasistą", a trzy krajowe żydowskie gazety opublikowały wspólne oświadczenie, iż rząd pod kierownictwem Corbyna będzie stanowił „egzystencjalną groźbę dla życia Żydów w UK".

W 2020 r., już za czasów Starmera, państwowa Komisja ds. równości i praw człowieka (EHRC) opublikowała raport, oskarżający Partię Pracy pod przewodnictwem Corbyna o nie dość stanowczą walkę z antysemityzmem we własnych szeregach. Jeremy Corbyn, komentując ten raport, stwierdził, iż jakkolwiek antysemityzm jest „absolutnie odrażający", to „skala problemu została dramatycznie zawyżona z powodów politycznych przez naszych przeciwników w partii i poza nią, jak również przez większość mediów". Za to został zawieszony w prawach członka partii i wyrzucony z klubu parlamentarnego. Chodziło głównie o to, żeby uniemożliwić mu kandydowanie z Labour Party w londyńskim okręgu Islington North, w którym od 1983 r. wygrał dla partii 10 wyborów pod rząd, przeważnie zdobywając 60 do 70 proc. głosów.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kiedy na walnym zebraniu dzielnicowej organizacji partyjnej 98 proc. członków zagłosowało za uchwałą, w której dziękowano Corbynowi za jego „zaangażowanie i służbę ludziom" i przypominano, że „wybór naszego posła" jest „demokratycznym prawem członków" – Starmer postanowił, wbrew obowiązującym w całym kraju zasadom, odebrać lokalsom jakikolwiek wpływ na tę kwestię. Zamiast zwyczajowego komitetu nominacyjnego z udziałem członków partii, krótką listę kandydatów na kandydata ułożył partyjny komitet wykonawczy, który zadbał przy okazji, żeby dyskusja i głosowanie nad tą listą odbyły się online, co wykluczało zadymy na sali.

Nikogo zatem specjalnie nie zdziwiło, kiedy Jeremy Corbyn ogłosił, że wystartuje jako kandydat niezależny.

## Sito Starmera

Starmer nie jest jednakowoż zadowolony. Corbynowi może już skoczyć, więc intensywnie prześladuje jego przyjaciół. Radny Partii Pracy w Islington, Phil Graham został zawieszony za wpis na Facebooku: „Jeśli mieszkasz w Islington North, jest tylko jeden kandydat, którego powinieneś rozważyć w wyborach powszechnych – Jeremy Corbyn". Inni sojusznicy Corbyna bywają zawieszani pod pretekstami pozornie niemającymi z nim nic wspólnego. Diane Abbott, która w jego gabinecie cieni pełniła funkcję szefowej MSW, skądinąd pierwsza czarnoskóra członkini Izby Gmin, zasiadająca w niej od 1987 r., została zawieszona za stwierdzenie, że biali ludzie nie są ofiarą rasizmu w tym stopniu, co czarni. Zostało to uznane za – nie zgadniecie – przejaw antysemityzmu, ponieważ znalazło się tam zdanie, że Irlandczycy, Żydzi i Trawelerzy (to koczownicza grupa pochodzenia irlandzkiego) „bez wątpienia doświadczają uprzedzeń", które „są podobne do rasizmu", ale „nie przez całe życie".

Keir Starmer zmajstrował też sito, przez które przesiewani są kandydaci na posłów. Specjalna komisja analizuje aktywność parlamentarzystów na portalach społecznościowych i sprawdza, czy nie krytykowali partii, albo nie okazywali życzliwości konkurencji. Maurice Mcleod, aktywista Black Lives Matter, usłyszał, że nie może kandydować, bo kilka lat temu zalajkował tweeta ówczesnej liderki Partii Zielonych Caroline Lucas, która niepokoiła się, czy brexit nie zagrozi NHS. Lauren Townsend, radna z Milton Keynes, poparta przez sześć związków zawodowych, wyleciała z listy potencjalnych kandydatów, bo polubiła tweeta premier Szkocji, szefowej Szkockiej Partii Narodowej, Nicoli Sturgeon o tym, że wyzdrowiała po covidzie. Działacz związku pocztowców, radny Matt Kerr, został zablokowany w Glasgow South West, bo na twitterze napisał coś dobrego o Corbynie. Leigh Drennan, przewodniczący Partii Pracy na Północnym Zachodzie, z poparciem trzech związków zawodowych i dziewięcioma latami pracy jako radny LP, został skreślony z listy kandydatów na kandydatów w Bolton North East, bo siedem lat temu podpisał jakąś petycję. Wszyscy mają pewne cechy wspólne: należą do lewicy Partii Pracy, mają wsparcie związków zawodowych, są postrzegani jako zwolennicy Jeremy'ego Corbyna.

Lista, którą Starmer skleci, a Brytyjczycy z braku alternatywy wybiorą, będzie miała z lewicowymi wartościami tyle wspólnego, co partia Czarzastego i Biedronia z Polską Ludową.

A – trawestując pamiętne zdanie Martina Luthera Kinga – chujowość lewicy gdziekolwiek jest zagrożeniem dla lewicy wszędzie.

Smutno.

**AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA**

# WIARA CZYNI CZUBA

**1.** Dwoje misjonarzy: 21-letnia Natalie Lloyd i i jej 23-letni mąż Davy, a także dyrektor misji Jude Montis zginęli na Haiti od kul lokalnego gangu. Natalie i Davy udali się na Haiti, żeby „zobaczyć, jak Ewangelia Chrystusa zmienia życie młodych ludzi". Haiti jest dziś jednym z najbardziej niebezpiecznych krajów na świecie. „Przestępstwa z użyciem przemocy, często z użyciem broni palnej, takie jak napady z bronią w ręku, porwania samochodów i porwania dla okupu, także wobec obywateli USA, są powszechne. Podróżni są czasami śledzeni, brutalnie atakowani i okradani wkrótce po opuszczeniu międzynarodowego lotniska Port-au-Prince" – przestrzega amerykański departament stanu, który umieszcza Haiti na czerwonej liście („Nie podróżować"). Jak jeszcze można wytłumaczyć siewcom religii, żeby nie pchali się tam, gdzie ich nie proszą?

**2.** W Szkocji właśnie opublikowano wyniki zeszłorocznego spisu powszechnego. 51,1 proc. Szkotów, na pytanie „Do jakiej religii, wyznania lub organizacji religijnej należysz?" – odpowiedziało: „do żadnej". W poprzednim spisie z 2011 r. liczba bezprizornych religijnie wynosiła 36,7 proc. Dodatkowo dwie trzecie religijnych mieszkańców Szkocji „nigdy lub praktycznie nigdy" nie chodzi do kościoła. Postęp Szkoci zawdzięczają głównie upadkowi Kościoła Szkocji, który od początku wieku stracił połowę wyznawców. Pastor David Cameron komentuje: „To otrzeźwiające i wiemy, że kiedy Kościół jest mierzony w ten sposób, może to być bolesne dla naszych członków i być źródłem niepokoju dla wielu. Ale nasza wiara i nasze znaczenie nie mogą być wyrażone po prostu jako zestaw liczb w tabeli". Owszem, mogą.

Rys. OBYWATEL JANEK

**3.** Włoch Carlo Acutis, który zmarł na białaczkę w wieku 15 lat, ma zostać pierwszym świętym milenialsem. Papież właśnie uznał mu drugi pośmiertny cud. Urodzony w 1991 r. Carlo był bardzo uzdolniony komputerowo, nauczył się programować jeszcze w podstawówce i za darmo tworzył strony internetowe dla organizacji katolickich. Zaprojektował też taką, która dokumentowała cuda na całym świecie. Ponadto Carlo wspierał duchowo kolegów z klasy, kiedy ich rodzice się rozwodzili i bronił niepełnosprawnych rówieśników przed złym traktowaniem. Pierwszy Acutisowy cud został odnotowany w Brazylii, gdzie siedmiolatek dostał koszulkę Carla i wyzdrowiał z rzadkiej choroby trzustki. Teraz kobieta z Kostaryki, po modlitwie do Carla, cudownie wyzdrowiała po wypadku rowerowym we Florencji w 2022 r.

**4.** Stan Luizjana przyjął ustawę stanową SB 276, zatytułowaną „Ustawa o kryminalizacji aborcji za pomocą oszustwa", która przewiduje 10 lat pierdla i do 75 tys. dolków grzywny za podanie kobiecie środków poronnych bez jej wiedzy. Luizjańska ustawa powstała, ponieważ w Teksasie niejaki Mason Herring przyniósł swojej żonie Catherine śniadanie do łóżka. Parze nie układało się najlepiej, więc Catherine wymyśliła, że idealnym sposobem na uratowanie małżeństwa jest trzecie dziecko. Jak się okazało, Mason nie podzielał jej opinii i do szklanki wody, którą podał jej do tostów, wrzucił mifepristone i misoprostol. Nieudolnie, bo płód przeżył, ale urodził się jako wcześniak. Catherine to siostra luizjańskiego senatora stanowego Thomasa Pressly, co stanowi, jak się okazuje, wystarczające uzasadnienie do napisania ustawy.



eprasa.pl dff6013e1c

# Z plaży na igrzyska

## Lubicie grać w badmintona? Ja bardzo lubiłem.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Skąd w ogóle wziął się badminton, zwany u nas również kometką? Jak w przypadku wielu innych dyscyplin, początki tej gry giną w mrokach historii. Może narodził się w Chinach, a może w Indiach wśród angielskich oficerów? W każdym razie uderzanie rakietką w pierzastą lotkę pojawia się na bardzo starych rycinach. Oficjalna nazwa dyscypliny sportu, czyli badminton, wzięła się od posiadłości Badminton House w hrabstwie Gloucestershire należącej do Henry'ego Somerseta, ósmego księcia Beaufort. Gdzieś usłyszałem, że wymiary hali, w której rozgrywa się do dziś badmintonowe mecze, są identyczne z wymiarami pokoju do gry w siedzibie angielskiego arystokraty, ale nie wiem, czy to prawda.

### Azjaci górą

W Polsce najczęściej można spotkać się z plażową odmianą tej dyscypliny, która jednak nie ma za wiele wspólnego z profesjonalny badmintonem. Na świecie badminton najpopularniejszy jest w krajach azjatyckich. W ogóle Azjaci mają jakieś szczególne predyspozycje do sportów rakietowych. Przeczytałem na ten temat wiele publikacji, ale żadna jakoś szczególnie mnie nie przekonała. Faktem jest, że po medale w badmintonie sięgają najczęściej Malezyjczycy, Chińczycy, Japończycy. Chińczyk Lin Dan, jedyny dwukrotny złoty medalista olimpijski, przez niektórych uznawany jest badmintonistą wszech czasów. Za mało znam się na tym sporcie, aby potwierdzić lub zaprzeczyć tej opinii.

W Europie gra się w badmintona chyba we wszystkich krajach, ale z sukcesami w niewielu. Podobnie jak trudno wykazać, dlaczego Azjaci tak dobrze radzą sobie na zawodach, niełatwo wskazać źródła sukcesów Duńczyków, najlepszych na starym kontynencie. Zapewne chodzi o popularność i system szkolenia. Tak jak w innych dyscyplinach treningi z utalentowanymi dziećmi trzeba rozpoczynać w bardzo młodym wieku. Prócz Danii na wysokim poziomie przebija się lotkę w Niemczech i Wielkiej Brytanii.

Zasady gry w badmintona są dość proste. Zarówno w grze pojedynczej, jak i podwójnej trzeba przebić lotkę nad zawieszoną na wys. 1,55 m siatką na drugą stronę boiska. Wygrywa ten, kto zgromadzi 21 pkt. Podobnie jak w tenisie lub siatkówce przewaga musi wynosić 2 pkt. Niemożliwe są jednak niekończące się tasiemce, bo kto pierwszy osiągnie 30 pkt., ten niezależnie od wyniku wygrywa seta.

### Najszybsza gra świata

Z tego, co pamiętam z moich amatorskich gier, początkującym najwięcej kłopotu sprawia serwowanie. Aż korci, żeby uderzyć lotkę znad głowy, podobnie jak piłkę tenisową. To jednak jest zabronione. Podaje się lotkę „z dołu", z okolicy biodra. U zawodowców lotka w tym momencie nie może być wyżej niż w odległości 1,15 m od powierzchni boiska. Oczywiście w momencie serwowania nie wolno odrywać nóg od podłoża.

Badminton uznawany jest za najszybszą grę świata. Sławę zdobył Satwik Siraj Eankireddy rodem z Indii. Głośnym echem odbiło się jego uderzenie. Lotka poleciała z prędkością 565 km/h. Kobiecy rekord należy do Malezyjki Pearly Tan i wynosi 438 km/h. Nie trzeba dodawać, że oba te osiągnięcia zostały wpisane do Księgi Rekordów Guinnessa, a firma Yonex, której rakietą się posługiwali, należycie wykorzystała te osiągnięcia komercyjnie.

Nie da się ukryć, że wyczynowy badminton stał się w wielu krajach dużym biznesem. Najlepsi grają o wysokie nagrody i mogą liczyć na lukratywne kontrakty reklamowe. W naszym kraju zatrzymał się na poziomie tylko ciut wyższym od amatorskiego, ale i na nim – o czym za chwilę – można robić interesy.

Choć korzenie odbijania rakietą lotki sięgają dawnych czasów, szybki rozwój tej dyscypliny to już nie tak odległa historia. Pierwsze mistrzostwa świata zorganizowano w szwedzkim Malmö w 1977 r., a wcześniej oczywiście trzeba było powołać do życia międzynarodową federację tego sportu. Rok 1977 był też ważny dla badmintona w Polsce – w tym roku powstał bowiem Polski Związek Badmintona (PZBad).

### Wyczynowcy z PZBad

Nie słyszałem o wielkich osiągnięciach polskich badmintonistów, choć reprezentanci naszego kraju biorą udział w różnych międzynarodowych zawodach. Niewykluczone, że kronikarze polskiego sportu wspomną jednak, choćby w przypisach, o niedawnym wyczynie działaczy PZBad. Nie jest to wszakże powód do dumy.

Prawo i Sprawiedliwość, czy – szerzej – Zjednoczona Prawica, z charakterystyczną dla tej formacji łapczywością sięgnęła po sport wyczynowy. Wiadomo, dzięki niemu można zyskiwać poklask wyborców, pojeździć w garniturze działacza po świecie, przytulić nieco kasy. Wielu ludzi, wśród nich ja, za złe miało nowej władzy, że bierze się za rozliczenia w sądownictwie, w spółkach skarbu państwa, w kulturze, a o sporcie zapomina. Przypomnę tylko, że Polski Komitet Olimpijski można nazwać przybudówką PiS. Podobnie dzieje się w licznych związkach sportowych.

Nareszcie coś się ruszyło.

**Ministerstwo Sportu i Turystyki zaczyna porządki. Na początek właśnie w związku rządzącym tą nieszczęsną kometką, czy też raczej badmintonem. Marek Skorupski z PAP poinformował, że kontrola przeprowadzona przez ministerstwo w PZBad, wykazała nieprawidłowości i działacze od rakietek i lotek z piórkami zwrócić będą musieli 1,4 mln zł dotacji**

otrzymanej w minionym roku. Być może w futbolowej centrali machnęliby ręką na taką kwotę – tyle mogą wydawać rocznie na słone paluszki – ale dla badmintonistów to gruba kasa.

O co poszło? Minister sportu i turystyki Sławomir Nitras wyjaśnił, że PZBad otrzymał dotację na finansowanie swoich imprez, w tym na organizację pikników badmintonowych. Okazało się jednak, że sprytni działacze podczepili się pod pikniki 800+, podczas których promowano („na lewo i na prawo" – jak stwierdził minister) ówczesnego ministra sportu Kamila Bortniczuka startującego w wyborach parlamentarnych. „To było wyjątkowo bezczelne okradanie ministerstwa ze środków" – orzekł Nitras. Dokumentacja, którą przedstawiono, nie zgadzała się z faktami. Fotografie dołączone do niej nie pochodziły wcale z pikników badmintonowych, ale z imprez politycznych. Ministerstwo nie może wspierać jakichkolwiek partii i nie będzie tego robić, a dwie osoby, które uczestniczyły w tym procederze, zostały zwolnione z pracy.

### Dotacje do zwrotu

Minister zapowiedział, że bardzo możliwe, iż PZBad nie będzie już dotowany z jego urzędu, ale z Instytutu Sportu. To akurat nie bardzo rozumiem, bo Instytut Sportu jest placówką badawczą, gromadzącą wielu wybitnych naukowców z dziedzin bliskich sportowi. Chyba, że profesorowie i doktorzy habilitowani mają ochotę poprzebijać lotkę nad siatką. To naprawdę sympatyczna rozrywka. Polecam.

Faktem jest, o czym już zresztą pisałem, że finansowanie sportu wyczynowego wymaga rewolucyjnych zmian. Musi być dotowany przez państwo, ale w czytelny sposób. Obecny proceder zasilania go w dużej części przez spółki skarbu państwa prowadzi do licznych nadużyć i siłą rzeczy prowokuje do politycznego wykorzystywania. Kto ma dojście do ważnych osób w Orlenie, Enei, spółkach węglowych itp. może liczyć na sute dotacje. Komu brakuje tego rodzaju kontaktów, ma pełne prawo czuć się pokrzywdzony. Zdaję sobie sprawę z ogromu pracy czekającej na włodarzy sportu wyczynowego, ale chyba trafili do ministerstwa po to, żeby pracować, a nie tylko wręczać puchary i medale podczas zawodów, co oczywiście także należy do ich obowiązków.

PZBad nie ustosunkował się do zarzutów przedstawionych przez Ministerstwo Sportu i Turystyki. Ustami swojego rzecznika poinformował, że sprawą zajmuje się wynajęta przez Związek kancelaria prawna.

Zająłem się badmintonem, bo tam nadużycia były najbardziej jaskrawe. W tej samej depeszy PAP informuje, że ministerialna kontrola wykazała nieprawidłowości w zakresie niecelowego wykorzystywania pieniędzy przez Polski Związek Hokeja na Trawie, Polski Związek Taekwondo Olimpijskiego i Polski Związek Judo. Tu także zażądano zwrotu dotacji. Jeśli pieniądze nie wrócą, zostanie uruchomione postępowanie administracyjne. Jedyne, na co mogą liczyć związki, to zgoda na rozłożenie należności na raty.

Mam nadzieję, że to dopiero początek. Ciekaw jestem, co wyjdzie na powierzchnię, gdy pracownicy ministerstwa zaczną sprawdzać bardziej popularne dyscypliny i znane kluby sportowe. Obawiam się, że tematów do pisania mi nie zabraknie.

### Minus 450 kalorii

Wracam do głównego wątku. Miałem dryg do kometki. Sorry, do badmintona. Jako chłopiec od rodziców dostałem na urodziny dwie drewniane rakietki i lotki zrobione z piór. Była to wówczas u nas wielka nowość, ojciec przywiózł prezent z delegacji służbowej do Azji – w Polsce coś takiego było jeszcze nie do kupienia. Wraz z bratem przebijaliśmy lotkę nad sznurkiem zawieszonym w pokoju i rodzice zapewne pożałowali pomysłu uzbrojenia nas w ten sprzęt, bo silnie uderzona lotka nie miała litości dla różnych domowych sprzętów. Nauka nie poszła w las i jako dziennikarz sportowy chętnie chodziłem do obiektów przeznaczonych do gry w badmintona. Właśnie wówczas przekonałem się jak fajna to rozrywka.

Czy tylko rozrywka? Każdy powinien dbać o zdrowie, a ruch i fizyczny wysiłek jest znakomitym sposobem na jego zachowanie. Po meczu schodziło się mokrym od potu, a ochota na zapalenie papierosa (wówczas, niestety, jeszcze paliłem) przechodziła na dłuższy czas. Badania naukowe – a jakże, są takie – wykazują, że odbijanie lotki nad siatką poprawia koncentrację, wzmacnia elastyczność, a nawet dobrze wpływa na gęstość kości. Amatorska gra pozwala spalić ok. 450 kalorii podczas godzinnego wysiłku. Zdecydowanie należy promować tę grę, choć niekoniecznie podczas politycznych pikników.

Kiedyś wziąłem udział w mistrzostwach dziennikarzy w badmintonie. Szło mi bardzo dobrze. Pamiętam, że jednym z moich rywali był prawicowy publicysta (jeszcze nie pokręcony polityk) Janusz Korwin-Mikke. Choć cokolwiek starszy ode mnie, stawił nadspodziewanie dzielny opór; grał bardzo dobrze. Zatarł mi się w pamięci wynik tego pojedynku, nie mogę natomiast zapomnieć meczu z młodziutką stażystką z Polskiej Agencji Prasowej. Spuściłem jej srogie baty, a później podsłuchałem, jak żaliła się koleżance, że przegrała ze starym dziadem po trzydziestce. Chciałoby się dziś być takim dziadem.

Zawody rozgrywano jakimś dziwnym systemem. Trwało to tak długo, że w pewnym momencie musiałem machnąć na wszystko ręką, zakończyć imprezę i lecieć do redakcji. Ku mojemu zdziwieniu dowiedziałem się później, że mimo niedokończenia mistrzostw, po podliczeniu wyników zająłem w nich czwarte miejsce. Proszę więc nie mówić, że oto jeszcze jeden dziennikarz sportowy, który nie wie, o czym pisze. Wiem, grałem, zająłem miejsce tuż za podium.

**WOJCIECH MITTELSTAEDT**
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

**SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:**
**Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,**
**Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,**
Edyta Baker – sekretarz redakcji, Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor prowadzący, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

**WYDAWCA:** „URMA" Sp. z o.o.

**ADRES redakcji i wydawcy:**
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

**DZIAŁ HANDLOWY:** 22 849-59-38.
**INTERNET**
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

**E-MAIL:**
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

**DRUK:**
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

**Sprzedaż elektroniczna:**
**www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl**

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 27.05.2024 r.**



eprasa.pl dff6013e1c

# SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Gdyby Zbigniew Ziobro ważył trochę więcej, z powodzeniem mógłby odgrywać rolę Marlona Brando odgrywającego rolę Vita Corleone na łożu śmierci.

– Ale się porobiło, co? – zapytał z wyraźnym wysiłkiem Ziobro. – Giertych zagrilluje nas na śmierć.

– Może nam skoczyć! – butnie zwołał Michał Wójcik, ale natychmiast stracił animusz. – Na mnie nic nie ma…

– Nie chcę iść do więzienia – zapiszczał Marcin Romanowski, z powodu ostatnich nagrań nazywany Audiomanem.

– Więzienie to nie sanatorium – ni z gruchy, ni z pietruchy powiedział Michał Woś.

– W więzieniu nie jest tak źle… – ocenił Patryk Jaki. – Trzeba tylko współpracować z funkcjonariuszami Służby Więziennej.

– Podobno najgorszych jest pierwszych pięć lat – włączył się do rozmowy Sebastian Kaleta. – Potem to już z górki…

– No i trzeba uważać na homoseksualistów – dodał Marcin Warchoł.

Jacek Ozdoba nic nie powiedział, tylko oczy zapłonęły mu niezdrowym blaskiem.

Wszyscy spojrzeli na Ziobrę, który najpierw skinięciem głowy poprosił o podniesienie poduszek, a potem rzekł, tajemniczo się uśmiechając: – Jeśli kryminaliści dowiedzą się, że jesteście z Suwerennej Polski, z dupy zrobią wam jesień średniowiecza. To my przez osiem lat odpowiadaliśmy za więziennictwo.

– Nie my, tylko Jaki – Wójcik podniósł ręce w obronnym geście.

– Kowal ukradł, a Cygana powiesili – powiedział Woś. Tylko z pozoru ni z gruchy, ni z pietruchy.

– Ja lecę do Hondurasu – szepnął Jaki. – Przeczekam tam największą nawałnicę.

– Z Hondurasem nie mamy umowy o ekstradycję – zauważył Kaleta.

I gdy już się zdawało, że członkowie Suwerennej Polski nie zrobią nic więcej poza płaczem i zgrzytaniem zębami, do sali szpitalnej weszła cała na biało Patrycja Kotecka, żona Ziobry.

– Tadam! – zawołała.

Zabrała ze stolika kompot, mandarynki i kokosowe batoniki, a położyła na nim walizeczkę.

– Neseser na deser – powiedziała, podnosząc wieko.

W walizce leżały równo poukładane pendrajwy – co najmniej sto.

– Ile godzin nagrań ma Giertych? – zapytał cicho Ziobro. – Pięćdziesiąt? Ja mam tysiące godzin. Wszystkich ze wszystkimi o wszystkim. Zawsze starałem się być zapobiegliwy…

Nastała cisza. Wydawało się, że to Marlon Brando mówi: „I spent my whole life trying not to be careless", ale to tylko echo grało.

**PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI**

**JOANNA SENYSZYN** pojechała do Brukseli, a **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** w okolice Zgniłochy. Każdy ma taki długi weekend, na jaki sobie zasłużył.

# Dialogi dam, z których obie żyją

**Wołk-Łaniewska: – Droga Joanno, czy możesz mi powiedzieć, jako wieloletnia parlamentarzystka z doświadczeniem w PE: czy jest jakiś sposób, w który mogłabym zagłosować na lewicę, nie głosując na Biedronia i Śmiszka?**

Senyszyn: – Chcesz długą czy krótką odpowiedź?

**– Krótką.**

– Nie.

**– Aha. A długa niesie w sobie nieco więcej nadziei?**

– Nie. Tylko wyjaśnienie. Otóż ordynacja jest skonstruowana w ten sposób, że najpierw dzieli się mandaty między partie. 5–7 proc. w skali kraju to trzy mandaty. A potem te mandaty wędrują do okręgów, gdzie lista danej partii zdobyła najwięcej głosów.

**– Procentowo?**

– Właśnie nie. Oryginalność tej ordynacji polega na tym, że w liczbach bezwzględnych. Stąd wielkie okręgi jak Śląsk, Wielkopolska, czy Dolny Śląsk z Opolszczyzną dają większą szansę niż małe, jak podlaskie czy kujawsko-pomorskie. Na Śląsku jest 3,5 mln wyborców, a w kujawsko-pomorskim 1,6 mln…

**– Więc przy tych samych 5 proc. w okręgu katowickim kandydat ma ponad dwa razy więcej głosów niż w bydgoskim.**

– Dokładnie.

**– Do tego, jak rozumiem, dochodzi problem frekwencji. Teoretycznie w okręgu warszawskim jest tylko o 20 proc. uprawnionych więcej niż na Podlasiu wraz z warmińsko-mazurskim. Jednak w ostatnich eurowyborach w Warszawie zagłosowało ponad 60 proc. uprawnionych – 1,4 mln osób, a w podlaskim niecałe 40 proc. – 800 tys.**

– I to jest właśnie powód, dla którego Cimoszewicz odmówił kandydowania ze swojego Podlasia: nie miał tam żadnych szans ma mandat.

**– A w zachodniopomorskim z lubuskim?**

– SLD, jak jeszcze istniało, dostawało tam czwarty lub piąty mandat. Do tych okręgów, w których wiadomo, że wejść się nie da, jak na przykład w łódzkim, lewica nerwowo szukała pożytecznych idiotów, którzy nie pozwolą partii spaść poniżej 5 proc. w skali kraju, więc nie tylko zapewnią mandaty wybrańcom, ale też odsuną egzekucję Czarzastego. Przecież gdyby nie przekroczyli progu, Czarzasty musiałby się pożegnać z laską marszałkowską, o której śnią z Żukowską…

**– A myślisz, że pożyteczni wiedzą, że kandydują na zająca i nie mają żadnych szans? Czy może każdy nosi buławę w plecaku i sądzi, że udowodni całemu światu, że akurat jemu się uda…**

– Większość nie wie, ale chodzą słuchy, że niektórym jedynkom Czarzasty daje z partyjnej kasy po 150 tys. zł na kampanię, więc stracą najwyżej złudzenia. Przy tej wydumanej ordynacji kandydatom umyka, że prawdziwa walka toczy się w ramach tej samej partii o okręgi i między okręgami. Konkurentem Biedronia tylko pozornie jest Kierwiński, a naprawdę Śmiszek, Scheuring, Cimoszewicz.

**– I ci, co dostali silne okręgi, trzymają kciuki za to, żeby ich partyjni towarzysze w innych silnych okręgach dali ciała.**

– A ponieważ wyborcom nikt tego nie tłumaczy, sądzą, że najważniejsze jest, kto dostał jedynkę. Wiosna w 2019 r. ogłosiła z dumą, że na 13 okręgów ma osiem kobiet na jedynkach, co miało być dowodem na to, jak promuje kobiety.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

**– Pamiętam. Bardzo się tym chwalili.**

– Tymczasem szansę miała tylko Sylwia Spurek, która dostała biorącą Wielkopolskę. Reszta kobiet startowała w okręgach, gdzie z góry było wiadomo, że nie ma mandatu. Teraz jest podobnie: nikt z dawnego SLD nie dostał nawet szansy na europarlament. Czarzasty konsekwentnie dyma byłych towarzyszy.

**– Patrz, a Biedronia i Śmiszka nie chce…**

– Nie mów hop, przy trzech mandatach któreś z nich padnie: albo Biedroń, albo Śmiszek, albo Scheuring-Wielgus. Przy czterech do gry może wejść Cimoszewicz.

**– Dlaczego? Jak trzy, to akurat dla biedroniowego tercetu.**

– A wcale, że nie, bo najpewniejszy Śląsk oddali razemkom.

**– Dlaczego najpewniejszy?**

– Dużo wyborców, przyzwoita frekwencja i jeszcze do tego relatywnie wysokie poparcie dla lewicy: w takim Sosnowcu wręcz najwyższe w Polsce. SLD zawsze miało tam pierwszy mandat. Wprawdzie Śmiszek i Scheuring też dostali duże okręgi, czyli Dolny Śląsk i Wielkopolskę, gdzie od 2004 r. lewica zawsze brała mandaty – ale nigdy pierwszy. Z kolei Biedroń kandyduje z Warszawy, gdzie frekwencja, jak zauważyłaś, jest z zasady wysoka i skąd wszedł pięć lat temu. Ale SLD miało w stolicy mandat tylko raz w historii eurowyborów, i to dopiero szósty czy siódmy. W dodatku chyba wszyscy pamiętają, jak Biedroń przysięgał, że kandyduje *pro Wiosna bono* i swój mandat odda. Sprawdziło się reymontowskie powiedzenie: „Chłop jak sięga, to przysięga, jak dostaje, to przestaje".

**– Cóż, życie jest, bracie, życiem, a tam czysta nieczysta i zamiast 4800 na rękę 8400 – jak śpiewał bard opozycji, Jan Krzysztof Kelus.**

– Nieco więcej, niż 8400. Za kadencję można przytulić prawie pięć baniek – nie licząc bycia dobrym wujkiem, bo europoseł ma ponad 100 tys. zł miesięcznie na zatrudnienie pracowników w Brukseli i w kraju. A do tego po ukończeniu 63 lat emerytura 1700 euro miesięcznie.

**– Co ja zrobiłam ze swoim życiem… Wracając do kampanii: Biedroń wymyślił, że będzie dedykowana poszczególnym dzielnicom. Szczególnie ujął mnie bilbord na Powiślu: „Europa dla Solca". Oczywiście, każdy kto mija ten bilbord, mknąc z niedozwoloną, ale powszechną w Warszawie szybkością 80 kilometrów na godzinę, czyta: „Europa dla Stolca". I nad tym wielkie uśmiechnięte zdjęcie Biedronia. Świetnie pomyślane.**

– To mi przypomina aferę, którą rozpętał chyba Gomułka, kiedy komentator pierwszomajowego pochodu ogłosił przez megafony, że „Ochota już przeszła, Wola jeszcze kroczy". Szkoda, że żadna z dzielnic nie nazywa się Kasiora…

**– Mógłby ze Szwecji kandydować, tam są trzy miejscowości o nazwie Forsa. I jeszcze jedna w Norwegii, ale to na nic, bo Norwegia nie jest w UE. „Europa dla Forsy" – to byłoby szczere hasło wyborcze.**

– Dla Biedronia na pewno, ale już taki Kierwiński czy Budka idą do Brukseli za karę, choć nikt nie mówi, czym się Tuskowi narazili.

**– Bardzo humanitarna kara. Albo wręcz nagroda pocieszenia.**

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

## PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 300

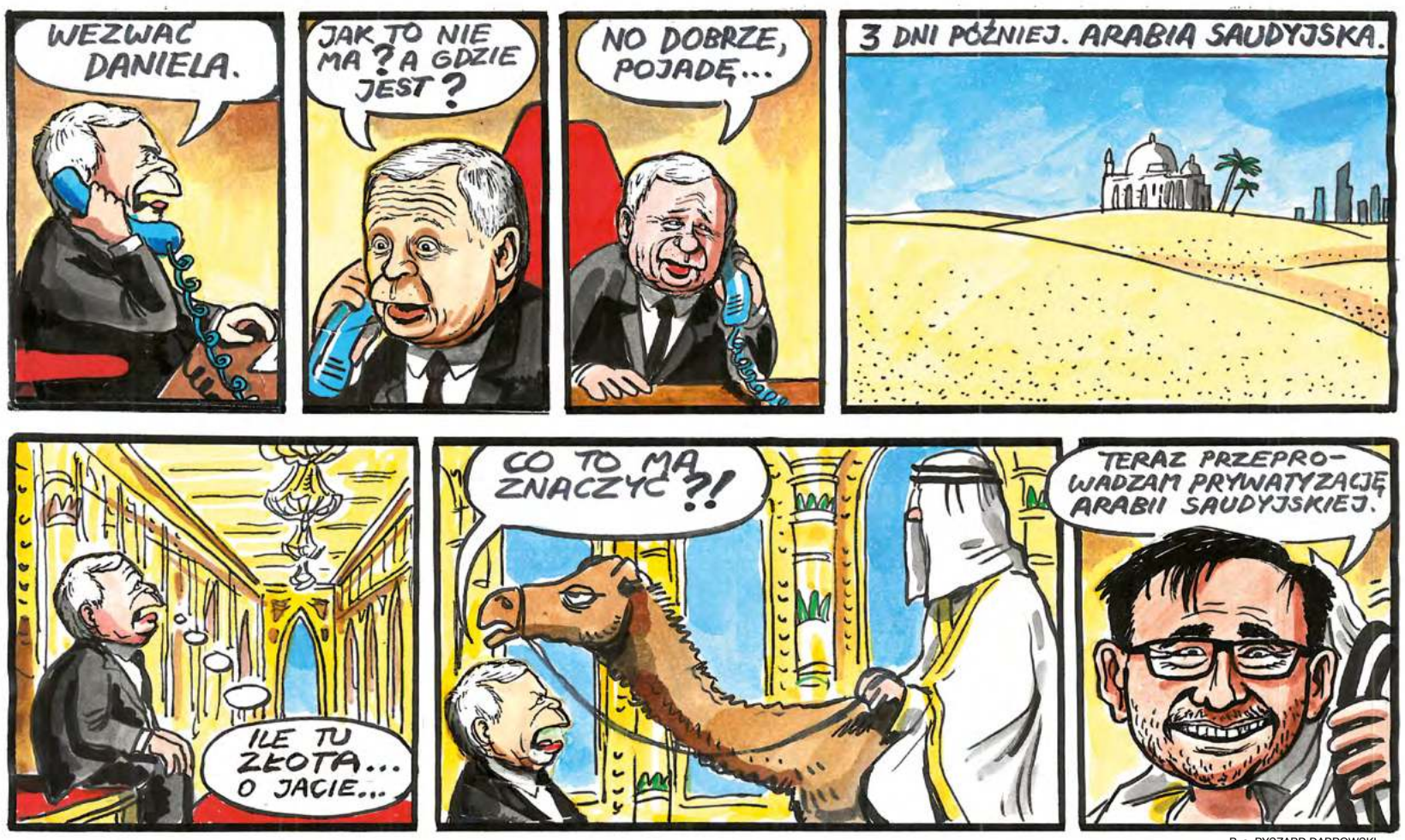


Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl dff6013e1c